

PISMO RUCHU TWÓRCZEGO OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH

FILANTROP

n a s z y c h c z a s ó w

Nr (294)5 • Poznań • maj 2019 • Nr indeksu 327948 • ISSN 1231-8876

FINANSUJĄ



Państwowy Fundusz
Rehabilitacji Osób
Niepełnosprawnych



POWIAT
POZNAŃSKI

PATRONUJĄ



W NUMERZE:

Twórcze
dwudziestolecie
str. 2 i 3

Bardziej wymowne
niż tysiące słów
str. 8

Mała artystka
z autyzmem str. 14 i 15
Zakątki
mojej miejscowości
str. 19

Czy ten niewidomy
grał w kosza?
str. 20 i 21

Cieszyć się życiem,
pomagać innym str. 23
Miłe futro alpaki
str. 24 i 25

Niepełnosprawny
może zwyciężać
str. 32 i 33

Szewczyka dratewki
historia prawdziwa
str. 41

Marta Wawrzyniak,
uczestniczka
Środowiskowego
Dому Samopomocy
„Iskra” w Poznaniu.
Obrazy i artykuł
jej autorstwa
„Moje malowanie”
– na str. 27.



FOT. MARCIN KACZYŃSKI



Karolina
Kasprzak
POZNAŃ

Dzieci i młodzież z niepełnosprawnością intelektualną oraz niepełnosprawnościami towarzyszącymi posiada talenty artystyczne, którymi chętnie dzieli się z ludźmi. Podczas tegorocznej, dwudziestej już, edycji Festiwalu Sztuki Naszych Dzieci 4 kwietnia w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu publiczność mogła poznać uzdolnienia aktorskie i muzyczne uczniów szkół specjalnych oraz integracyjnych.

Organizatorem Festiwalu był Zespół Szkół Specjalnych nr 105 im. Juliana Tuwima w Poznaniu oraz Stowarzyszenie na rzecz Uczniów i Absolwentów ZSS 105 oraz Ich Rodzin „Trwanie”. Projekt był współfinansowany ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego. Patronat honorowy nad wydarzeniem objął Prezydent Miasta Poznania i Wielkopolski Kurator Oświaty. Patronat medialny – nasz miesięcznik, TVP 3 Poznań oraz „Głos Wielkopolski”. Partnerem wydarzenia był Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Centrum Kultury Zamek, Urząd Miasta Poznania – Wydział Oświaty i Wydział Gospodarki Komunalnej, Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna, trzecie Liceum Ogólnokształcące im. Jana Kantego w Poznaniu, Akademia Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego, Hufiec Związku Harcerstwa Polskiego „Piast” oraz Straż Miejska Miasta Poznania.

– Wielkie dzięki, że mogę tu być. Dzisiejsze wydarzenie to dawka wspaniałych emocji, na którą wszyscy czekamy. 20 lat realizacji Festiwalu zobowiązuje. Każdy jubileusz to moment refleksji, zatrzymania się, podsumowania tego, co udało się zrobić i przemyślenia, co jeszcze jest do zrobienia. Życzę, aby nigdy nie zabrakło Państwu dobrej energii, którą będziecie przekazywać drugiemu człowiekowi. Życzę też wielu marzeń i możliwości ich realizacji – powiedziała Marlena Małąg, prezes Zarządu PFRON, która uczestniczyła w Festiwalu wraz z Anną Skupień, dyrektorem Oddziału Wielkopolskiego PFRON.

Festiwal Sztuki Naszych Dzieci ma doniosłe znaczenie dla społecznej rehabilitacji osób z niepełnosprawnościami. Pozwala pokonywać własne ograniczenia, wyzwala poczucie sprawstwa oraz wiary we własne możliwości. Oklaski widzów są dla nich, jak również dla rodziców i opiekunów, najlepszą nagrodą za trud włożony w przygotowanie prezentacji.

W tym roku wystąpiło 15 zespołów. Byli to mieszkańcy Poznania, Mosiny, Kościana i Londynu. Ostatnie z wymienionych miast reprezentowali członkowie zespołu „Night Wonderers”, działającego przy stowarzyszeniu zrzeszającym osoby z autyzmem w Anglii i szkole dla nich tam prowadzonej. Uczestnictwo londyńskiego zespołu w Festiwalu to efekt współpracy ZSS nr 105 z tą placówką dydaktyczną.

Na scenie prezentowali się głównie uczniowie szkół specjalnych oraz integracyjnych. Swoje pięć minut (a nawet więcej) mieli również uczestnicy

XX FESTIWAL SZTUKI

Twórcze



Marlena Małąg, prezes Zarządu PFRON (pierwsza z lewej) oraz Dorota Kinal, dyrektor Departamentu Edukacji Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego (pierwsza z prawej) wręczyły upominki uczniom Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Janusza Korczaka w Mosinie.



Zespół „Night Wonderers” z Londynu w prezentacji pod tytułem: „Spring Fling”.



Zespół taneczny „Impuls” ze Stowarzyszenia „Na Tak” w układzie choreograficznym pod tytułem: „Taneczne hity”.



Grupa „Teatrzyk na 103” z Zespołu Szkół Specjalnych nr 103 w Poznaniu w prezentacji zatytułowanej: „Dobrze, że jesteś!”.

NASZYCH DZIECI

dwudziestolecie



Grupa „Trele Morele” z Zespołu Szkół Specjalnych nr 102 w Poznaniu w prezentacji zatytułowanej: „Czarodziejski eliksir”.



Uczniowie Niepublicznej Szkoły Podstawowej i Gimnazjum „Otwarte Drzwi” w Poznaniu w prezentacji pod tytułem: „Wszystko może się zdarzyć”.

FOT. (7X) KAROLINA KASPRZAK



Uczestnicy wydarzenia.

placówek rehabilitacyjno-terapeutycznych jak na przykład Środowiskowy Dom Samopomocy „Sokoły” w Poznaniu, który urzekł widzów prezentacją zatytułowaną: „Na złość”. Twórczą inwencją zachwyciła także inscenizacja teatralna pod tytułem: „Eksperyment Matyldy” w wykonaniu uczniów Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Janusza Korczaka w Mosinie.

Uczniowie Zespołu Szkół Specjalnych nr 102 w Poznaniu w prezentacji pod tytułem: „Czarodziejski eliksir” pokazali,

SPEKTAKL RADOŚCI

My też byliśmy na 20 Festiwalu Sztuki Naszych Dzieci, który odbył się w Centrum Kultury Zamek w Poznaniu. Organizatorem był Zespół Szkół nr 105 w Poznaniu, do którego chodził nasz kolega Marcin. Niektórzy z nas byli tam pierwszy raz. Byliśmy pod wrażeniem ogromnej liczby osób, ciekawych przedstawień i świetnej atmosfery. Najbardziej podobało mi się przedstawienie „Kraina Łodu” w wykonaniu przedszkolaków. Był to spektakl pełen radości, muzyki filmowej i wesołych postaci. Najfajniejszy był bałwanek Olaf. Przy okazji zwiedziliśmy Zamek i jeździliśmy nowoczesną windą. Zauważyłem, że budynek jest dostosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych.

GRZEGORZ NIEŁACNY
UCZESTNIK WTZ W POBIEZISKACH

jak czuje się człowiek napiętnowany innością, różnością, indywidualnością. Jak trudno jest mu funkcjonować w grupie, wśród rówieśników, którzy nie szczędzą przykrych komentarzy i przy każdej nadarzającej się okazji tę „inność” wytykają palcami.

Z kolei członkowie grupy tanecznej „Impuls”, działającej przy Stowarzyszeniu „Na Tak”, zaprezentowali imponujący układ choreograficzny pod tytułem: „Taneczne hity”. Pokazał on, że osoby z zespołem Downa mają świetne wyczucie rytmu, potrafią improwizować i dostosować się do sytuacji wyrażając emocje mimiką twarzy.

Każda prezentacja festiwalowa zasłużyła na podziw i uznanie. Z obserwacji twórczych zmagani festiwalowych wiele korzyści wynieśli zarówno widzowie nie zajmujący się sztuką na co dzień, jak i arteterapeuci pracujący z osobami z niepełnosprawnościami.

Festiwal nie mógłby się odbyć, gdyby nie zaangażowanie rodziców, opiekunów i nauczycieli dzieci oraz młodzieży z niepełnosprawnością, wolontariackie wsparcie służb ratowniczych, a także uczniów pozostałych szkół.

Finansowo przedsięwzięcie wsparły również firmy: Novotel Poznań Malta, Orbis Hotel Group, Matbet, Inea, Pol-Mak, AWM Solutions, Telf-Wojt, Jump Arena, Lama, Asgard oraz Fundacja Sales Group Dzieciom.

W dniach od 8 do 22 marca 64 zawodników Olimpiad Specjalnych z Polski przebywało na Światowych Letnich Igrzyskach Olimpiad Specjalnych w Dubaju i Abu Dhabi. Reprezentantką naszego kraju w judo była Angelika Stachowiak, uczennica klasy III A Zespołu Szkół Specjalnych nr 101 w Poznaniu. Występ Angeliki stał się wydarzeniem historycznym, gdyż nigdy wcześniej w reprezentacji Polski na Światowych Igrzyskach nie było judoków.

Światowe Igrzyska w Zjednoczonych Emiratach Arabskich gościły ponad 7.500 zawodników z ponad 190 krajów całego świata. W przeprowadzeniu zawodów pomagało ponad 20.000 wolontariuszy, a na widowni mogło zasiąść blisko 500.000 osób. Igrzyska tym samym stały się największą imprezą sportową na świecie w roku 2019.

Aby wystąpić na zawodach najważniejszych dla każdego sportowca, Angelika musiała przejść długą drogę kwalifikacji. Najpierw po kilku latach treningów zwyciężyła w Ogólnopolskim Turnieju Judo Olimpiad Specjalnych w Poznaniu. Następnie musiała przejść szereg badań medycznych, aby zdobyć ostateczną kwalifikację na obozie przygotowawczym w Bydgoszczy.

Swoją wielką przygodę Angelika rozpoczęła jeszcze w Polsce, gdyż jak każdy olimpijczyk musiała odebrać nominację olimpijską. Uroczysta gala wręczenia nominacji odbyła się w Hotelu „Marriott” w Warszawie, w obecności między innymi Witolda Bańki, ministra sportu i turystyki oraz Andrzeja Kraśnickiego, prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Kolejnego dnia cała reprezentacja wraz z Angeliką oraz jej niżej podpisanym trenerem i jednocześnie nauczycielem ze szkoły, przyleciała do Dubaju. Na czas pobytu w Dubaju, zawodnicy i trenerzy z Polski, zostali zakwaterowani w hotelu sprawiającym niesamowite wrażenie. Angelika z okien swojego pokoju na 36 piętrze mogła między innymi podziwiać najwyższy budynek świata – Burj Khalifa (wysokość 829 metrów, 163 piętra użytkowe).

Po trzech dniach zwiedzania Dubaju i poznawania arabskiej kultury, zawodnicy większości dyscyplin, w tym także judocy, udali się do Abu Dhabi – stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie rozpoczęły się przygotowania do Igrzysk. W

7.500 ZAWODNIKÓW NA ŚWIATOWYCH IGRZYSKACH

Srebrny medal



Angelika Stachowiak (z prawej) – srebrna medalistka Światowych Igrzysk Olimpiad Specjalnych w Abu Dhabi.

perfekcyjnie przygotowanych i w pełni profesjonalnych obiektach sportowych, wszyscy olimpijczycy uczestniczyli w treningach i grach obserwowanych, dzięki czemu mogli następnie zostać przydzieleni do właściwych grup startowych.

Jednym z najbardziej charakterystycznych momentów każdego igrzysk olimpijskich jest ceremonia otwarcia. Także tym razem organizatorzy zadbali o ogrom emocji i niesamowite wrażenia, które towarzyszyły wszystkim zawodnikom, trenerom i działaczom zgromadzonym na wielkim stadionie Szejka Zayed w Abu Dhabi. Zawodnicy, którzy dotarli na ceremonię otwarcia Igrzysk, zostali przywitani przez wojskowe samoloty, które latając nad stadionem, tworzyły na niebie wzór flagi narodowej Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Olimpiady Specjalne są jedną z trzech organizacji na świecie, które oficjalnie mogą przeprowadzać cały ceremoniał olimpijski. Po kilku występach artystycznych, a także przemówieniu prezydenta kraju gospodarzy, nastąpiło uroczyste wciągnięcie flagi olimpiad specjalnych. Kulminacyjnym momentem ceremonii było zapalenie znicza olimpijskiego przez kilkunastu zawodników oraz towarzyszący temu pokaz sztucznych ogni nad koroną stadionu.

Tym sposobem oficjalnie rozpoczęły się Igrzyska, a pełni emocji, zapалу i determinacji zawodnicy już w następnych dniach stanęli do walki o medale. Angelika w drodze do finału swojej kategorii, zwyciężyła aż trzy walki, pokonując w nich dwie reprezentantki Francji oraz jedną zawodniczkę ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W walce finałowej zmierzyła się z zawodniczką z Holandii, z którą po bardzo wyrównanej walce nieznacznie przegrała. Mimo wszystko po zakończonym pojedynku Angelika tryskała energią i radością, gdyż wspaniali kibice swoim niesamowitym dopingiem i ogromem gratulacji dali wszystkim do zrozumienia, że Angelika dokonała historycznego wyczynu, zdobywając dla polskiego judo srebrny medal Igrzysk Olimpiad Specjalnych. Dzień wcześniej srebrny medal wywalczyła także Marcin Liszcz – judoka z Elbląga. Tym sposobem Marcin i Angelika, jako pierwsi judocy z Polski zdobyli medale na Światowych Igrzyskach Olimpiad Specjalnych.

Po zakończeniu swojego występu każdy zawodnik mógł skorzystać z programu „Zdrowi Sportowcy”, podczas którego przechodził przez szereg badań związanych ze zdrowym wzrokiem, słuchem, zdrowym stylem życia czy też zdrowymi stopami.

Oficjalne zakończenie Igrzysk nastąpiło również na stadionie, gdzie ponownie spotkali się wszyscy uczestnicy zawodów. Podczas ceremonii zamknięcia Igrzysk ponownie odbyły się liczne koncerty oraz pokazy artystyczne, a uwieńczeniem wszystkiego był pokaz sztucznych ogni.

Po powrocie do Polski cała reprezentacja została hucznie przywitana na lotnisku w Warszawie. W spotkaniu uczestniczył m.in. Minister Sportu i Turystyki.

Dla Angeliki nie był to jednak koniec świętowania. Wszyscy nauczyciele i uczniowie Zespołu Szkół Specjalnych nr 101 w Poznaniu – ukochanej szkoły Angeliki, w poniedziałek 25 marca zorganizowali dla niej, jej rodziców i trenera, wspaniałe powitanie, podczas którego nie było końca oklasków, wiwatowania i skandowania imienia srebrnej medalistki. Po oficjalnym powitaniu był także czas na uczczenie wielkiego sportowego sukcesu w mniej liczonym gronie, w obecności dyrekcji szkoły, przy torcie i bezalkoholowym szampanie.

Za cztery lata kolejne Igrzyska, tym razem gospodarzem będzie Berlin. Już dzisiaj zachęcamy do kibicowania najwspanialszym sportowcom na świecie.

DARIUSZ MIGDAŁEK

OLIMPIAD SPECJALNYCH W ABU DHABI

Angeliki Stachowiak



Na Igrzyska przybyli zawodnicy z krajów całego świata. Wśród nich – Angelika i jej kolega, judoka Marcin Liszcz z Bydgoszczy, również srebrny medalista.



Radość zwycięzców. W środku autor tekstu, trener Angeliki i twórca drużyny judo.

FOT. DAMIAN KURAS



Zwycięzcy na podium. Trzecia od lewej Angelika Stachowiak.



Spacer po egzotycznym Dubaju.



Pamiątkowa fotografia z Abu Dhabi.

FOT. (5X) DARIUSZ MIGDAŁEK

Rokietnicka wiosna

Była słoneczna i ciepła, pierwsza wiosenna sobota. Tego dnia w Ośrodku Sportu w Rokietnicy zorganizowano spotkanie promujące prozdrowotne zachowania. Zaproszeni byli wszyscy bez względu na wiek i kondycję fizyczną. Można było rozmawiać, ćwiczyć, uczyć się zdrowego stylu życia.

Trenerzy demonstrowali elementy gimnastyki oddechowej, ucząc ważnej dla zdrowia każdego człowieka umiejętności, jaką jest efektywne oddychanie. Są to bardzo proste, a jednocześnie przydatne ćwiczenia. Nie zdajemy sobie sprawy, jak często doprowadzamy do hiperwentylacji (zbyt szybkiego oddychania) w sytuacjach stresowych lub podczas wysiłku fizycznego. Dzięki nabytym umiejętnościom można zapanaować nad oddechem, a w efekcie szybciej zregenerować siły. Poznawano też zasady udzielania pierwszej pomocy poszkodowanym w wypadkach samochodowych.

W innym miejscu grupa słuchaczy Akademii Wieku Dostojnego w Rokietnicy uczyła ćwiczeń poprawiających kondycję naszego kręgosłupa i stawów. Ćwiczenia nie wymagają żadnych przyrządów, każdy może je wykonywać. Była też gimnastyka chińska Qigong i ćwiczenia z elementami jogi, które okazały się łatwe i przyjemne. Dla maluchów był kącik zabaw. Pokazano rodzicom, jak można wykorzystać na przykład szyszki, groch, fasolę do zabaw sensorycznych z małymi dziećmi i osobami potrzebującymi rehabilitacji oraz jak wiązać chustę do noszenia niemowląt. To tylko niektóre atrakcje tego dnia.

Na tych, którzy cenią niebanalne ozdoby, czekało stoisko Warsztatu Terapii Zajęciowej „Roktar”. Tu można było nabyć ozdoby wielkanocne, szkatułki na skarby oraz ręcznie wyplatane kosze i tace.

Prawdziwie wiosenna atmosfera panowała na tym spotkaniu dla każdego, kto chce się nauczyć pogodnie i zdrowo żyć.

DARIA KRZYSZKOWIAK



Gabriela Krzyszkowiak z Alicją Nazaruk, swoją opiekunką i terapeutką Warsztatu Terapii Zajęciowej „Roktar” w Rokietnicy podczas spotkania promującego prozdrowotne zachowania.



Gabriela uczy się na manekinie, jak udzielać pierwszej pomocy.

Wnawiazywaniu kontaktu oraz we wspomaganiu komunikacji z osobami z demencją, niepełnosprawnością intelektualną i autyzmem kluczową rolę odgrywają urządzenia oraz metody umożliwiające porozumiewanie się. Czytelnicy „Filantropa Naszych Czasów” słyszeli na pewno o systemie Makaton, w którym każde słowo zostaje zastąpione gestem, czy o literowaniu słów na wnętrzu dłoni osoby, do której mówimy. Metod umożliwiających porozumiewanie się z osobami nie posługującymi się mową werbalną jest co najmniej kilkanaście. Zostały nazwane metodami komunikacji alternatywnej, czyli inaczej wspomagającej.

Urządzeniem pomocnym w nawiązywaniu kontaktu z osobami z niepełnosprawnościami jest zagraniczne urządzenie o skróconej nazwie CRDL, określane jako interaktywny instrument opieki zdrowotnej przekładający dotyk między ludźmi na dźwięk. Takie właśnie urządzenie trafiło na początku kwietnia tego roku do Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach w powiecie poznańskim, placówki prowadzonej przez Wielkopolski Związek Inwalidów Narządu Ruchu w Poznaniu. Ufundował je wieloletni sponsor oraz przyjaciel Warsztatu – Hans-Jörg Otto, działacz społeczny pracujący w branży produkcji urządzeń elektrycznych i elektronicznych. Dodatkowe fundusze na sprowadzenie tego urządzenia do Polski pomógł pozyskać Frits Colenbrander, społecznik zajmujący się opieką zdrowotną, edukacją i wspieraniem osób z niepełnosprawnościami, który dokłada starań, aby ludzie w młodym wieku byli zaznajomieni z osobami z poważnymi niepełnosprawnościami.

Urządzenie, nazywane kołębą lub kołyską, zostało wykonane z drewna. Jest średniej wielkości, ma owalny kształt. Na środku tego urządzenia znajduje się głośnik, a z boku niewielkie przyciski do włączania i wyłączania oraz do regulacji głośności zabezpieczone przykryciem. Urządzenie posiada kartę pamięci. Na kartę wgranych zostało kilka podstawowych dźwięków jak szum morza, hałas miejski (jadący pociąg, stukot końskich kopyt i tym podobne), dźwięk łyżek, czyli dźwięki znane osobom z niepełnosprawnościami

URZĄDZENIE PRZEKŁADAJĄCE DOTYK NA DŹWIĘK – DAREM DLA WTZ W OWIŃSKACH

Uszy i oczy pełne wrażeń

z życia codziennego. Urządzenie daje możliwość wgrania na kartę pamięci dodatkowych dźwięków.

Jest to pierwsze tego typu urządzenie w Polsce. Umożliwia użytkownikom równy kontakt, niezależnie od ich zdolności poznawczych. Dwie osoby siadają naprzeciwko siebie, a między nimi położone jest urządzenie. Każdy dotyk – zetknięcie dłoni, muśnięcie policzka lub dotknięcie ucha – to inny, charakterystyczny dźwięk urządzenia. Niezapomnianych wrażeń dostarczył uczestnikom Warsztatu pierwszy test tego urządzenia. Okazało się wspaniałe i niezawodne. Najwięcej radości sprawił odgłos dźwięku gry na instrumencie w chwili położenia palca na policzku drugiej osoby. To tak jakby można było na niej grać! Im szybciej będziemy się poruszać, tym szybciej urządzenie będzie wytwarzało dźwięk.

Urządzenie zostało oficjalnie zaprezentowane 5 kwietnia, w siedzibie Warsztatu. Będzie z niego korzystał między innymi Adam Budziszewski, uczestnik Warsztatu, osoba ze spektrum autyzmu. Małgorzata Wołosz, kierownik Warsztatu, powiedziała, że sukcesem jest fakt, iż Adam, dzięki temu urządzeniu, dąży do nawiązania relacji. Ma nadzieję, że z czasem zacznie sam wykonywać ruchy. Na razie koncentruje się na słuchaniu dźwięków.

Podczas spotkania urządzenie miała okazję poznać kilkuletnia Michalina Zajęc, dziewczynka z opóźnieniem rozwoju psychoruchowego, ze złożonym napięciem mięśniowym oraz wadą słuchu, która ma wszczepiony implant ślimakowy. Jest członkinią Koła WZINR w Owińskach.

– Urządzenie daje przede wszystkim możliwość skupienia uwagi – mówi Róża Zajęc, mama dziewczynki. – To ciekawa forma rehabilitacji słuchowej, bo każdy dźwięk jest inny. Córka chętnie nasłuchuje dźwięków oraz wyszukuje je. Takie urządzenia są niezawodne w nawiązywaniu kontaktu i komunikacji z osobami z niepełnosprawnościami. Miejmy



Hans-Jörg Otto, fundator urządzenia i Małgorzata Wołosz, kierownik Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach.



Z urządzenia będzie korzystał między innymi Adam Budziszewski, uczestnik WTZ.



Frits Colenbrander i Michalina Zajęc.

nadzieję, że z czasem będą się w Polsce pojawiać.

M. Wołosz poinformowała, że Warsztat planuje współpracować w zakresie udostępnienia tego urządzenia pacjentom Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w Owińskach oraz osobom starszym z Centrum Wsparcia Seniora.

Tego dnia wszyscy goście, a wśród nich przedstawiciele gminy Czerwonak i Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Poznaniu, mieli okazję dowiedzieć się w praktyce, jak działa urządzenie. Chociaż osobom mówiącym na początku trudno było skoncentrować uwagę wyłącznie na dźwiękach, parę chwil później, siedząc naprzeciw drugiej osoby, szybko odnalazły porozumienie przekazywane przez dotyk i same zaczęły go inicjować.

Czytelnicy „Filantropa”, którzy znają język angielski i chcieliby dowiedzieć się więcej na temat tego urządzenia, mogą skorzystać z wyszukiwarki internetowej wpisując frazę „CRDL”. Działanie tego urządzenia można obejrzeć na umieszczonych na kanale YouTube filmach. Jest również strona dedykowana temu urządzeniu: <https://crdl.com>

KAROLINA KASPRZAK

Z ROKIETNICY DO TEATRU WIELKIEGO W POZNANIU

Bardziej wymowne, niż tysiące słów

Co roku w całej Polsce w styczniu robi się gorąco, gdy setki ludzi angażują się w finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Nie inaczej było i tym razem w podpoznańskiej Rokietnicy. Również tutaj wśród orkiestrowych gadżetów były do wylicytowania niezwykle atrakcje.

Jedną z nich ufundował Zbigniew Starosta, kapelmistrz Rokietnickiej Orkiestry Dętej, zarazem puzonista orkiestry Teatru Wielkiego w Poznaniu. Były to bilety na wybrany spektakl operowy, połączony ze zwiedzaniem gmachu poznańskiej opery. Stały się one naszą wygraną w licytacji, która wspomogła zbiórkę na WOŚP. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy na dzień 23 marca, kiedy to mieliśmy zrealizować wylicytowaną atrakcję.

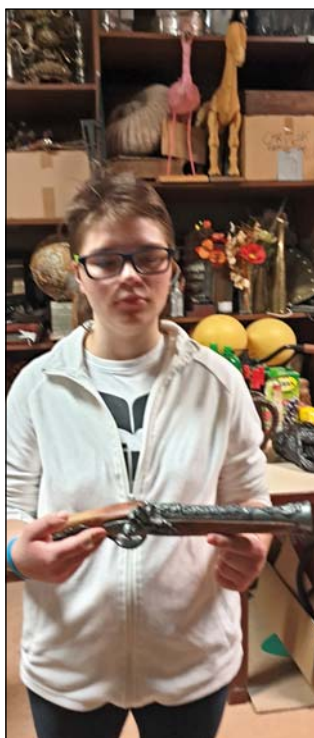
Chwilę przed godziną 18-stą tego dnia spotkaliśmy się w holu ze Zbyszkim Starostą i Małgorzatą Arendowską z teatralnego działu edukacyjnego – naszą przewodniczką po teatralnych zakamarkach. Zajrzeliśmy do rekwizytorni, garderoby i sali prób. Stanęliśmy na scenie i za pulpitem dyrygentem. Poznaliśmy sekrety, przesady i anegdoty teatralne. Dowiedzieliśmy się, dlaczego nie wolno gwizdać w teatrze, jak należy się zachować, gdy upadnie partytura i co zrobić pegaz na dachu opery, gdy orkiestra będzie fałszować. Można było stanąć do zdjęcia z dyrygentem maestro Grzegorzem Wierusem. Pani Małgorzata cierpliwie odpowiadała na nasze pytania, pokazywała miejsca zazwyczaj niedostępne dla widzów.

Nasza wycieczka była tym bardziej niezwykła, że już w 2020 roku opera na dwa lata zamknie swoje podwoje i przeżyje wielki remont.

Pełni wrażeń i podekscytowani zasiedliśmy na widowni.



Zbigniew Starosta, puzonista orkiestry Teatru Wielkiego w Poznaniu (z lewej), autorka tekstu Daria Krzyszkowiak z mężem i córką Gabrielą oraz dyrygentem maestro Grzegorzem Wierusem.



Gabi w rekwizytorni opery poznańskiej.

Znając możliwości naszej córki Gabrieli świadomie zrezygnowaliśmy z przedstawienia operowego na rzecz baletu. Klasyczny spektakl pełen śpiewu mógłby być dla niej zbyt trudny w odbiorze. Przekonał się o tym w styczniu na „Dziadku do orzechów”, jednym z najpiękniejszych baletów do muzyki Piotra Czajkowskiego. Widzieliśmy wówczas z mężem, jak Gabi z zapartym tchem śledzi losy dzieci w tym bajecznym, baletowym spektaklu. Dlatego i tym razem wybraliśmy dzieło tego kompozytora – balet „Jeziorko Łabędzie”.

Nie pomyliliśmy się. Córka znowu głęboko przeżywała to, co dzieje się na scenie. Kolejny raz przekonałam się, że deficyt intelektualny nie przeszkadza mojej córce w obcowaniu ze sztuką najwyższej próby. Pod warunkiem, że to, na co wybierzemy się z dzieckiem, musi być uni-

wersalne w swojej wymowie. Trudno też zaprzeczyć, że muzyka, taniec i ruch bywają bardziej wymowne niż tysiące słów.

Dzięki obu wizytom w Teatrze Wielkim nasza córka odkryła, że emocje i uczucia można wyrazić na wiele niewerbalnych sposobów. Nasze bytności w operze rozbudziły ciekawość Gabi i teraz to ona wybiera sztukę, którą chce obejrzeć. Wizyty w teatrze to wspaniały sposób na wspólne spędzenie czasu i na poznanie możliwości swoich dzieci. Nie obawiamy się otwierać przed nimi nowych światów. Tylko w ten sposób damy im możliwość poszerzania własnych horyzontów.

Dziękuję Zbyszkowi Staroście, Małgorzacie Arendowskiej i maestro Grzegorzowi Wierusowi za wspaniałe przyjęcie i czas poświęcony naszej rodzinie.

DARIA KRZYSZKOWIAK

SPOTKANIE WIELKANOCNE WARSZTATU TERAPII ZAJĘCIOWEJ „PROMYK”

Muzyka, ruch sceniczny, słowo...

Uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej „Promyk” w Konarzewie i Otuszu, największego WTZ w powiecie poznańskim, 16 kwietnia po raz kolejny zaprezentowali publiczności swoje uzdolnienia artystyczne. Tego właśnie dnia w Centrum Rehabilitacyjno-Kulturalnym w Konarzewie, gdzie swoją siedzibę ma placówka, zorganizowano uroczyste śniadanie wielkanocne dla uczestników WTZ, ich rodzin oraz dla członków Stowarzyszenia na rzecz Osób Niepełnosprawnych „Promyk”.

Inscenizację muzyczno-teatralną przygotowali uczestnicy WTZ przy wsparciu terapeutów. Kilkunastominutowy spektakl zatytułowany: „Noszący Chrystusa” był autentyczną pracą twórczą osób z niepełnosprawnościami. Sala widowiskowa CR-K jak zwykle była tłumnie wypełniona. Zebranych powitał Bogdan Maćkowiak, prezes Stowarzyszenia, który zwrócił uwagę, że prezentowany

spektakl ma głęboki wymiar, gdyż bez obecności Boga w życiu człowieka trudno mówić o przebaczeniu i niesieniu cierpienia.

Starostę poznańskiego reprezentował Antoni Kalisz, członek Zarządu Powiatu w Poznaniu. W spotkaniu uczestniczyli także między innymi: Paweł Ratajczak, wiceprzewodniczący Rady Powiatu, Tomasz Woźnica, zastępca dyrektora Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Poznaniu, radni powiatowi, kierownicy ośrodków pomocy społecznej w Stęszewie, Buku i Komornikach.

Na scenie toczyła się walka dobra ze złem. Każdy uczestnik WTZ miał przydzieloną rolę w przedstawieniu. Prezentacja wywarła na słuchaczach duże wrażenie. Została nagrodzona oklaskami. Była to ogromna satysfakcja dla osób z niepełnosprawnościami, które na tej właśnie scenie pokonały własne ograniczenia i słabości.

KAROLINA KASPRZAK



Barwne stroiki

1 kwietnia odbył się kiermasz wielkanocny prac wykonanych przez uczestników Warsztatu Terapii Zajęciowej „Promyk” w Konarzewie i Otuszu. Zainteresowane osoby, które przybyły bardzo licznie, miały w czym wybrać.

Były stroiki, wianki, króliki, jajka i wiele innych dekoracji świątecznych. Wśród kupujących



ych byli rodzice uczestników wraz z rodzinami oraz osoby zaprzyjaźnione z Warsztatem. W obu placówkach już od stycznia trwała twórcza praca nad przygotowaniem na kiermasz atrakcyjnych, barwnych ozdób świątecznych.

DOROTA GOGOLEWSKA
TERAPEUTA ZAJĘCIOWY



FOT. (4X) ARCHIWUM WZ

Z INICJATYW

Wielkanocna żywność

W sobotę 6 kwietnia w trzech sklepach na terenie gminy Kleszczewo: Lewiatan w Górzach oraz Matuszewscy i Biedronka w Tulcach prowadzono zbiórkę żywności dla mniej zasobnych mieszkańców, korzystających ze wsparcia Ośrodka Pomocy Społecznej.

Zgromadzono niezbędne artykuły spożywcze. Zebrano 293,815 kg produktów stałych i 39 litrów produktów płynnych. Objęto pomocą 19 rodzin, dla których przygotowano wielkanocne paczki. Ofiarami w imieniu obdarowanych dziękuję.

MIROŚŁAWA RADZIMSKA



FOT. ARCHIWUM OPS

W restauracji „Bambaryła”

16 kwietnia w restauracji „Bambaryła” w Tulcach odbyło się śniadanie wielkanocne, w którym uczestniczyli klubowicze i kombatanci z osobami towarzyszącymi.

Obecni byli: Bogdan Kemnitz – wójt Gminy Kleszczewo, Mariusz Mikołajewski i Stanisław Fojud ze Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych Okręgu Wojewódzkiego

oraz Halina Kowalewska ze Stowarzyszenia Powstania Wielkopolskiego – Koło w Tulcach. Byli też pracownicy Ośrodka Pomocy Społecznej w Kleszczewie. Goście składali świąteczne życzenia zdrowia i radosnych przeżyć w rodzinnym gronie. Od klubowiczów otrzymali ręcznie wykonane upominki.

MIROŚŁAWA RADZIMSKA



FOT. ARCHIWUM OPS

STOWARZYSZENIA „POMAGAM” W KLESZCZEWIE

Kulinarne przed świętami

11 kwietnia w Ośrodku Kultury w Kleszczewie miejscowy Ośrodek Pomocy Społecznej i Stowarzyszenie „Pomagam” przy współpracy Wielkopolskiego Banku Żywności w Poznaniu zorganizowały warsztaty kulinarne.

Zajęcia odbywały się w dwóch

grupach. Przygotowywano takie m.in. potrawy jak naleśniki po meksykańsku i kluski serowe. Były smaczne i niedrogie. Udział warsztatach wzięło łącznie 19 osób. Uczestnikom towarzyszyły pracownice socjalne.

MIROSŁAWA RADZIMSKA



FOT. (2X) ARCHIWUM OPS

Baśń na scenie

Pprzed świętami wielkanocnymi, 12 kwietnia, uczestnicy świetlic środowiskowych w Kleszczewie i Tulcach przedstawili na scenie kleszczewskiego Ośrodka Kultury aktorską wersję baśni Hansa Christiana Andersena „Brzydkie Kaczętko”.

Liczna widownia odebrała z ogromnym aplauzem i wzruszeniem wspaniałe widowisko, wykonane przez młodych artystów. Razem z ich rodzicami, klubowiczami, rodzinami współpracującymi z asystentem rodziny obec-

ni byli m.in. pracownicy Ośrodka Pomocy Społecznej i osoby z Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych.

Dzieciom współpracującym z asystentem rodziny i wychowankom świetlic środowiskowych wręczono paczki wielkanocne. W holu czekało na wszystkich ciasto przygotowane przez klubowiczów. Prowadzący spotkanie Maciej Frąckowiak złożył wszystkim życzenia wielkanocne w imieniu Wójta Gminy Kleszczewo.

MIROSŁAWA RADZIMSKA



FOT. (3X) ARCHIWUM OPS

Potrzebują pracy

Osoby z różnymi niepełnosprawnościami chcą pracować, bo praca daje im poczucie niezależności, szansę na samodzielność i satysfakcję. Niestety, w Polsce bez zatrudnienia jest aż 1,2 miliona osób z niepełnosprawnościami w wieku aktywności zawodowej. Ich doświadczenie, umiejętności i możliwości są niewykorzystanym kapitałem.

Raport na temat losów osób z niepełnosprawnościami na rynku pracy przygotowała Fundacja „Aktywizacja”. Przeprowadzone przez tę Fundację badanie dotyczyło m.in. rodzaju pracy, warunków zatrudnienia, oceny pracy i jej wpływu na życie oraz oceny powodów zmiany lub utraty pracy. W badaniu wzięły udział 564 osoby z różnymi rodzajami i stopniami niepełnosprawności. Spośród wszystkich badanych 564 osób z niepełnosprawnościami aż 93% przyznało, że pracuje na umowę o pracę, 72% – że jest zatrudnionych powyżej 6 miesięcy, a 80% wykazało zadowolenie ze swojej pracy.

Wnioski z badania Fundacji „Aktywizacja” pokazują, że osoby z niepełnosprawnościami są rzetelnymi, sumiennymi i zadowolonymi pracownikami. Jednocześnie pokazują również, że niewielu bezrobotnych korzysta ze wsparcia oferowanego przez urzędy pracy. Większość bezrobotnych osób z niepełnosprawnościami utrzymuje się z rent i nie widzi szans na aktywizację zawodową. Ich sytuacja materialno-bytowa jest dramatyczna, szczególnie w wsiach oraz w małych miejscowościach.

Z pomocą w powrocie na rynek pracy przychodzą różnego typu projekty oraz programy aktywizacyjne, ukierunkowane na podnoszenie kompetencji zawodowych i społecznych. Takim właśnie projektem jest projekt pod nazwą: „Postaw na pracę”, który Fundacja realizuje dzięki dofinansowaniu ze środków PFRON. Więcej informacji i dane kontaktowe do poszczególnych oddziałów Fundacji można znaleźć na stronie: www.aktywizacja.org.pl **Oprac. KK.**

Uroczyste świąteczne śniadanie

Warsztacie Terapii Zajęciowej w Wiardunkach śniadanie wielkanocne odbyło się 11 kwietnia. Na tę okazję świątecznie ubraliśmy hol i stołówkę. W pracowni gospodarstwa domowego instruktorzy pełnili role kucharzy, uczestnicy obierali i kroili warzywa, kielbasę, boczek, ogórki i jajka, myli naczynia, garnki.

Podczas śniadania odświętnie ubrani uczestnicy Warsztatu zasiedli do pięknie zastawionych stołów. Kierownik Joanna Napierała powitała przybyłych gości, m.in. Zofię Kotecką, starostę obornickiego, Henrykę Nowak-Tańską, prezesa Stowarzyszenia „Rehabilitacja”, Henryka Szramę, wójta Gminy Ryczywół, Piotra Woszczyka, zastępcę Burmistrza Obornik oraz uczestników i pracowników WTZ.

Goście dziękowali za dobrą współpracę, życząc uczestnikom i kadrze zdrowych, spokojnych świąt wielkanocnych. Przekazali prezenty dla

naszych uczestników, którzy w zamian uhonorowali gości swoimi upominkami.

JOANNA BEDYŃSKA



FOT. (2X) DOMINIKA NIERADKA-JESSA

Promocja „Klaudynki”

29 marca odbyło się walne zebranie Kórnickiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Niepełnosprawnością Intelktualną i Ruchową „Klaudynka” w Kórniku.

Prezesem wybrano ponownie Karolinę Świątek. Zachęcała wszystkich do pro-

mowania Stowarzyszenia i włączania się w akcje charytatywne. Poinformowała m.in. o możliwości dofinansowania do indywidualnego wyjazdu rehabilitacyjnego dzięki wsparciu Miasta i Gminy Kórnik.

Dagmara Horodecka mówiła o ważnej roli wolontariuszy w

pracy Stowarzyszenia, dziękując im za zaangażowanie. Anita Wachowiak zaprezentowała wyniki programu „Aktywny Bonus”, który ma na celu włączenie członków Stowarzyszenia w pracę „Klaudynki”.

OPRACOWAŁ R.W.

Wielkanoc w drewnie ukryta

Z okazji świąt Wielkiej Nocy w naszych domach i w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Swarzędzu przygotowaliśmy świąteczne dekoracje. W pracowni stolarskiej nasi koledzy i koleżanki tworzyli świąteczne zajęce, koguty, kury, kurczaczki, baranki i wiele innych prac, które umiliły atmosferę naszego Warsztatu.

Uczestnicy tej pracowni odznaczają się różnymi zdolnościami, które pozwalają

im wykazać się na tyle, na ile kto może. Są to: Rafał, Marcin, Agnieszka, Karolina oraz Kinga. Instruktorem jest pan Hirek, który przekazuje im swoją wiedzę, a plastyczka pani Magda razem z uczestnikami WTZ w Kobylnicy ozdabia prace z drewna technikami decoupage. Cieszymy się, że w naszym Warsztacie mamy wspaniałych ludzi, którzy rozwijają nasze talenty.

AGATA KIEJDROWSKA



FOT. (2X) ARCHIWUM WTZ

Niezwykły dzień

Dzień Kobiet jest obchodzony 8 marca prawie na całym świecie i również u nas, w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Swarzędzu. W tym dniu zorganizowaliśmy spotkanie.

Przygotowaliśmy program artystyczny i poczęstunek. Przy kawie wesoło spędziliśmy czas, a panie zostały obdarowane przepięknymi kwiatami.

W zamian kobiety z Warsztatu złożyły życzenia panom z okazji dnia mężczyzn. To był dla nas dzień radości, przeżyć i wzruszeń. Pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

MIROŚŁAWA PENCZYŃSKA



FOT. ARCHIWUM WTZ

Szansa dla aktywnych

Do 31 października tego roku trwa projekt pod nazwą: „Klub Aktywnych Niepełnosprawnych”, adresowany do 60 osób zamieszkujących w Poznaniu lub na terenie powiatu poznańskiego, z niepełnosprawnością, zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym, które korzystają z pomocy społecznej. Udział w projekcie jest bezpłatny. Projekt jest współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Realizuje go poznańska Fundacja „Tyflologika”.

W ramach projektu osoby z niepełnosprawnościami mogą skorzystać ze wsparcia opiekuna klubu w celu ustalenia ścieżki reintegracji, z indywidualnego poradnictwa zawodowego, pomocy psychologicznej, grupowego treningu umiejętności społecznych, treningu ekonomicznego oraz poradnictwa obywatelskiego.

Ponadto projekt przewiduje sto godzin szkolenia komputerowego lub nauki języka angielskiego dla uczestników projektu – za każdą godzinę szkolenia jeden uczestnik otrzymuje stypendium szkoleniowe w wysokości 6,65 złotych. Także płatne staże 6-miesięczne z wynagrodzeniem w wysokości 997,40 złotych za jeden miesiąc. Każdy uczestnik w ramach stażu otrzymuje m.in. odzież ochronną, ubezpieczenie, badania z zakresu medycyny pracy.

Fundacja „Tyflologika”, jak czytamy na stronie www.tyflogika.pl, powstała w celu reintegracji i integracji społecznej oraz zawodowej osób zagrożonych wykluczeniem społecznym, a także w celu działalności edukacyjnej, szkoleniowej, informacyjnej oraz badawczej. Siedziba Fundacji znajduje się w centrum Poznania, w pomieszczeniu przystosowanym do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Na drzwiach są tabliczki z powiększoną czcionką i tłumaczeniem w brajlu.

Szczegółowe informacje na temat projektu oraz innych inicjatyw Fundacji można uzyskać pod numerem telefonu: 665 012 114 lub drogą elektroniczną: fundacja@tyflogika.pl *Oprac. KK.*

W cymbergaja – walka i zabawa

Warsztacie Terapii Zajęciowej „Promyk” w Otuszu 11 marca zakończył się trzeci warsztatowy turniej cymbergaja, w którym wzięło udział czternaście osób.

Walka była zacięta, zawodnicy skupieni na wygranej, ale przy tym wszyscy świetnie

się bawili. Pierwszy miejsce wywalczył Adrian Mazurek, drugie – Mateusz Wiciak i trzecie – Wirginia Kaźmierska. Wszystkim zawodnikom serdecznie gratulujemy.

ALEKSANDRA TONDER
UCZESTNICZKA
WTZ „PROMYK” W OTUSZU



FOT. ARCHIWUM WTZ

W kwietniowym wydaniu miesięcznika „Filantrop Naszych Czasów” opublikowaliśmy na str. 2 informację pod tytułem „Światowy Dzień Świadomości Autyzmu” – o funkcjonowaniu osób z autyzmem, o różnych postaciach tego zaburzenia, o potrzebie walki z dyskryminacją i izolacją ludzi nim dotkniętych, o docenianiu i promowaniu ich zdumiewających niekiedy umiejętności. Tym razem poniżej zapowiedziana we wspomnianym tekście relacja Dominika Sikorskiego z wystawy obrazów jego siedmioletniej córki Aleksandry, osoby z autyzmem, obdarzonej niezwykłym talentem malarzkim. *red.*

*

W Międzynarodowym Miesiącu Wiedzy na temat Autyzmu prowadzono różnego rodzaju prelekcje i warsztaty mające przybliżyć problemy i wyzwania z jakimi borykają się w życiu codziennym osoby ze spektrum autyzmu i ich rodziny. Jednym z takich wydarzeń była wystawa prac malarskich Aleksandry Sikorskiej, prezentowana w Centrum Innowacji „Przejście”, filii Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu, która często realizuje działania podejmujące tematy ważne społecznie. Autyzm niewątpliwie jest takim tematem.

Wystawa rozpoczęła się 15 marca i trwała do 7 kwietnia. Przez ponad 3 tygodnie zwiedzający mogli oglądać 60 oryginalnych prac Oli, 14 dużych reprodukcji oraz kilkadziesiąt plakatów powstałych na bazie twórczości młodej artystki, zebranych w specjalnie na tę okazję przygotowanych katalogach. Sama wystawa spotkała się z bardzo dużym zainteresowaniem odwiedzających placówkę, przechodniów i mieszkańców Wrocławia.

Idea wystawy pod tytułem „Gra barw. Gra słów. Gra uczuć” wymyślona przez Anetę Siwka (kierownik Centrum Innowacyjne „Przejście”) było połączenie doznań estetycznych i artystycznych z wiedzą na temat samego autyzmu. Toteż tytuł wystawy nawiązywał do często towarzyszącego autyzmowi zaburzenia, jakim jest brak mowy. Ola, autorka prac malarskich, do dziś jeszcze nie mówi. O swoich emocjach, przeżyciach opowiada nie słowami, lecz za pomocą barw, ich odcieni, niebanalnych kompozycji, które często zaskakują i zachwycają.

Kwiaty dla pań

W „Iskrze” świętowaliśmy dzień kobiet. Najpierw nasz kolega Adam w czerwonym pudełku miał dla nas batoniki i składał nam życzenia.

Ja dostałam od mojego Pawełka czekoladę i od Tomka kolegi też. Kolega Bartek miał

dla nas kwiatki i składał nam życzenia. I nasz nowy kolega Krzysztof miał dla nas cukierki. Terapeuci mieli dla pań terapeutek kwiaty. I były słodkie drożdżówki, a pan Marcin zrobił nam zdjęcia.

MAGDALENA SZYMAŃSKA



FOT. MARCIN KACZYŃSKI

Mała artystka z autyzmem

Elementem edukacyjnym i jednocześnie punktem kulminacyjnym wystawy był wernisaż prac Oli połączony z panelem eksperckim zorganizowanym w Światowy Dzień Świadomości Autyzmu, czyli 2 kwietnia, w partnerstwie z Dolnośląskim Stowarzyszeniem na rzecz Autyzmu. W ramach wydarzenia odbyły się spotkania ze specjalistami z zakresu integracji sensorycznej, rehabilitacji, logopedii, z terapeutami dzieci ze spektrum autyzmu i pedagogami specjalnymi, którzy podzielili się wiedzą na temat autyzmu, zwiększając świadomość społeczną na temat tego zaburzenia oraz dobrymi praktykami, mogącymi w przyszłości służyć osobom z autyzmem oraz ich najbliższym.

Wydarzenie to rozpoczęło się o godzinie 16 wykładem pod tytułem: „Autyzm. Diagnoza i wsparcie” Jacka Śmigi, pedagoga specjalnego i wiceprezesa Dolnośląskiego Stowarzyszenia na rzecz Autyzmu. Jacek Śmigiel w swoim wystąpieniu wprowadził przybyłą publiczność w zagadnienie autyzmu i jego diagnozowania. Następnie o Oli i jej twórczości malarskiej opowiedział niżej podpisany tata małej artystki w wystąpieniu pod tytułem: „Malarski świat Oli”. Po wystąpieniach odbył się panel ekspercki, prowadzony przez Alicję Winiszewską, prezesa Dolnośląskiego Stowarzyszenia na rzecz Autyzmu. Zaproszeni



Autor tekstu w rozmowie z Dorotą Ślepowron-Korwin.



Uczestnicy warsztatu „Autyzm wprowadza zmysły w błąd”.

goście i eksperci odpowiadali na pytania przybyłej publiczności, odkrywali i tłumaczyli skomplikowany świat autyzmu. Ciekawym uzupełnieniem całości tego wydarzenia był warsztat pod tytułem: „Autyzm

wprowadza zmysły w błąd”, przeprowadzony przez Dorotę Ślepowron-Korwin, pedagoga specjalnego i terapeutkę integracji sensorycznej, podczas którego można było doświadczyć sposobu postrzegania i odbierania rzeczywistości przez osoby autystyczne. Całość wydarzenia prowadziła Aneta Siwka.

Warto podkreślić, że zarówno wystawa, jak i jej punkt kulminacyjny w postaci wernisażu połączonych z wykładami oraz warsztatami stały się jednym z ważniejszych punktów obchodów Dnia Autyzmu we Wrocławiu i w całym województwie. Wydarzenie spotkało się z dużym zainteresowaniem wśród mieszkańców Wrocławia. Każdego dnia prace Oli przyciągały rzesze odwiedzających, również z innych miast w Polsce. A 2 kwietnia na zaplanowany wernisaż i spotkanie ze specjalistami przybyło blisko sto osób. Pokazuje to, jak ważnym tematem dla coraz większej grupy społeczeństwa staje się autyzm.

Żeby społeczeństwo mogło zrozumieć świat osób z autyzmem, zaakceptować ich odmienne zachowania, okazać empatię, musi mieć świadomość czym jest autyzm. Wystawa prac siedmioletniej Aleksandry Sikorskiej, małej artystki z autyzmem, stała się pretekstem do rozmowy na temat tego zaburzenia, stanowiła doskonałe spoiwo łączące doznania artystyczne i edukację oraz ważny element integracji ze środowiskiem osób z niepełnosprawnościami.

DOMINIK SIKORSKI



Podczas wystawy.



Wystawa prac Aleksandry Sikorskiej.

Dla każdej tulipan i róża

Z okazji dnia kobiet wspomniała niespodziankę przygotowali dla nas panowie w Warsztacie Terapii Zajęciowej w Owińskach. Obdarowali nas wiosennymi tulipanami i pachnącymi różami. Złożyli nam serdeczne życzenia – Jarek Trepto zaśpiewał piosenkę specjalnie na tę okazję.

Wspólnie spędziliśmy czas przy deserze i kawie, a na zakończenie każda z nas otrzymała jeszcze słodką babeczkę samodzielnie przygotowaną przez naszych panów.

UCZESTNICZKI
WTZ W OWIŃSKACH



FOT. ARCHIWUM WTZ



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Przywitała nas wiosna

Przygotowując się do nadejścia astronomicznej wiosny uczestnicy naszego Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach wykonali tradycyjne gaiki – bukiety zrobione z gałązek, kolorowych bibułek i wstążek.

21 marca poszliśmy wielobarwnym korowodem na spacer po Owińskach. Śpiewaliśmy radosne piosenki, wzbudzając uśmiech na twarzach mijających nas przechodniów. Ogromną niespodzianką było dla nas spontaniczne zaproszenie do zabawy od dzieci z pobliskiego przedszkola. Pani Wiosna przywitała nas tu serdecznie, zapraszając do wspólnego tańca.

ANNA KRZYŻANEK
UCZESTNICZKA WTZ W OWIŃSKACH



FOT. (3X) ARCHIWUM WTZ

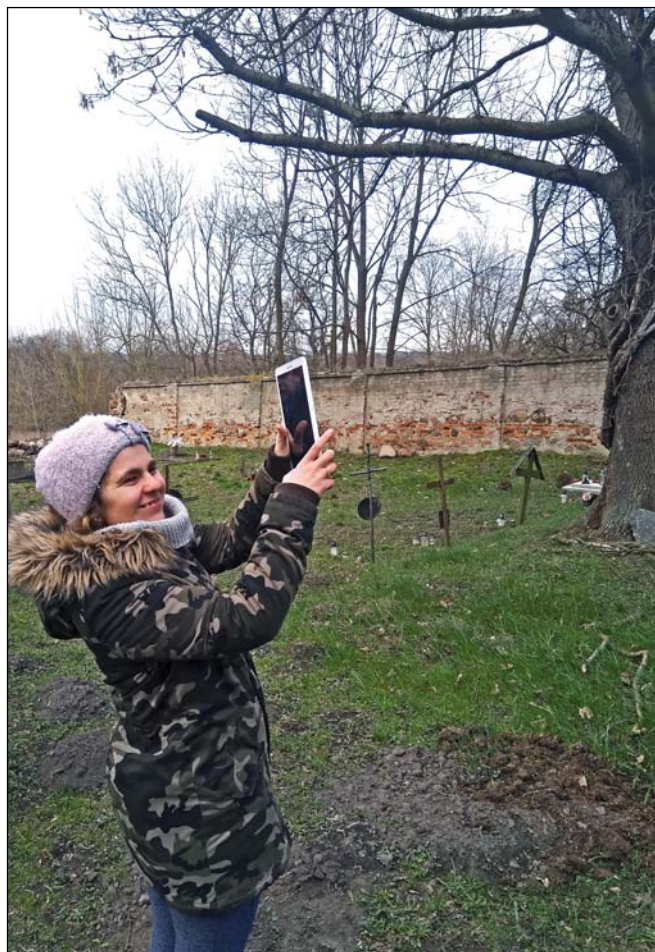
Uczestnicy Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach brali udział w plenerze fotograficznym. Szukaliśmy pierwszych oznak wiosny, odwiedzając piękne miejsca gminy Czerwonak – kościół św. Mikołaja w Owińskach i wieżę widokową na Dziewiczej Górze.

Poznaliśmy podstawowe zasady kompozycji, techniki fotograficzne. Zapoznaliśmy się z obsługą aparatu analogowego i cyfrowego. Korzystaliśmy ze

Nauka fotografii

statywu, nauczyliśmy się mierzyć światło oraz ustawienia poprawnej ekspozycji. Postanowiliśmy kontynuować naukę fotografii na kolejnych wyjazdach.

EWA FRANKOWSKA
UCZESTNICZKA WTZ W OWIŃSKACH



Płatne staże

Fundacja Aktywności Lokalnej i Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w Poznaniu realizują projekt pod nazwą: „Aktywni zintegrowani. Aktywna integracja w subregionie poznańskim”. Projekt jest współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Subregion poznański obejmuje Poznań, gminy powiatu poznańskiego, obornickiego, szamotulskiego, śremskiego i średzkiego.

Projekt jest adresowany do 48 osób pełnoletnich, zamieszkujących na terenie subregionu poznańskiego, nieaktywnych zawodowo z powodu własnej choroby przewlekłej (np. nadciśnienia tętniczego, nowotworu, chorób układu oddechowego, cukrzycy, choroby wieńcowej, problemów zdrowia psychicznego) lub z powodu opieki nad bliską osobą chorą.

W ramach projektu przewidziane jest specjalistyczne wsparcie doradcy edukacyjno-zawodowego, pośrednictwo pracy, warsztaty oraz treningi aktywizujące społecznie i zawodowo, płatne staże zawodowe, wsparcie psychologiczne (terapia indywidualna i grupowa), możliwość podnoszenia kwalifikacji przez udział w kursach oraz szkoleniach zawodowych.

Warunkiem udziału w projekcie jest spełnienie kryteriów formalnych, w tym przygotowanie dokumentacji zgłoszeniowej. Osoby zainteresowane uczestnictwem w projekcie mogą uzyskać dodatkowe informacje pod numerem telefonu: 533 315 616 lub za pośrednictwem e-mail: az@fal.org.pl **Oprac. KK.**

KATARZYNA KUSEK
GRABINY

Laudate Dominum

*Twój los
zapisany w gwiazdach
i w źrenicy Boga
człowieku.*

*Błogosław temu, który
iść wytrwale kazał,
odmierzając drogę
stukotem serca,
w ciemności
przeznaczenia.*

„Bądź wierny i idź”.

Hołd powstańcom

13 kwietnia uczestniczyliśmy w obchodach setnej rocznicy zaprzysiężenia oddziałów Straży Ludowej na Rynku w Pobiedziskach.

Oglądaliśmy wojskowych w mundurach z tamtego dnia.

To był wspaniały widok. Strój był odtworzony wiernie i z detalami. Były delegacje ze sztandarami, które składały hołd przed nowym pomnikiem, upamiętniającym uczestników powstania wielkopolskiego z

ziemi pobiedzkiej. Wszystko było niezwykle podniosłe, tylko pogoda nieprzyjemna. Na szczęście artyści rozgrzewali nas śpiewem, tańcem i muzyką.

ADRIAN MATUSZAK
PATRYK KRAUSE



FOT. (2X) GRZEGORZ NIELACNY



Zakątki mojej miejscowości

Nazywam się Rafał Mucha, jestem urodzonym oborniczanie. Od kilku lat jestem uczestnikiem Warsztatu Terapii Zajęciowej w Wiardunkach. Jako żywiołowa osoba nie potrafię dłużej przebywać w jednym miejscu. Bardzo chętnie przechadzam się po najodleglejszych zakątkach mojej miejscowości.

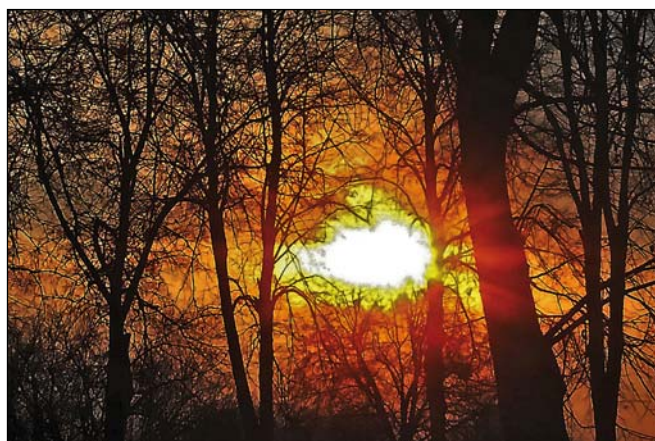
Interesują mnie wydarzenia kulturalne i sportowe organi-

zowane w moim mieście. Od pewnego czasu łączę ze sobą dwie pasje – uczestnictwo w imprezach z fotografią. Czuję potrzebę uwieczniania wyjątkowych chwil i obrazów przyrody oraz dzielenia się nimi ze znajomymi za pośrednictwem portalu społecznościowego. Bardzo mnie cieszy, gdy ktoś obejrzy i polubi moje prace, które zamieszczam w Internecie.



Rafał Mucha, autor tekstu.

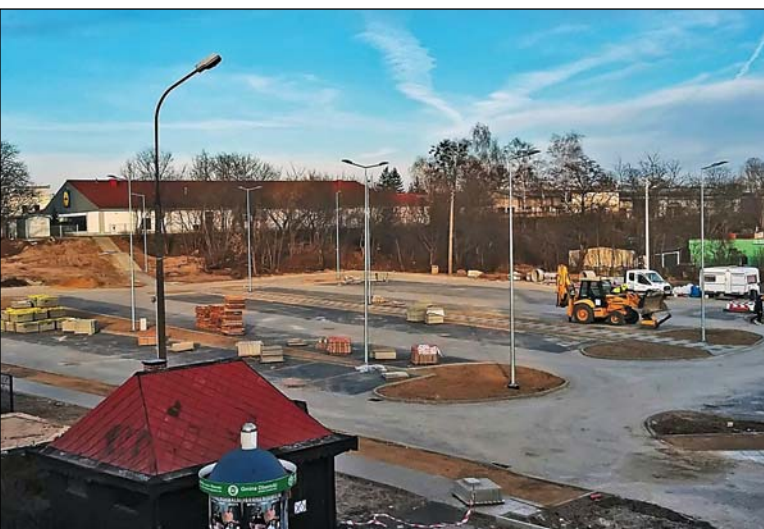
FOT. ARCHIWUM WZT



Zdjęcia wykonuję zarówno aparatem cyfrowym jak i komórką. Jako uczestnik WZT fotografuję czasem koleżanki i kolegów z mojego Warsztatu. Robię to podczas sesji, jakie

organizuje co jakiś czas mój instruktor. Dowiaduję się wtedy wielu rzeczy, które pomagają mi robić lepsze zdjęcia.

RAFAŁ MUCHA



FOT. (4X) RAFAŁ MUCHA

W kręgle i nie tylko

10 kwietnia w kaliskiej kręgielni „Amnezja” odbył się X Turniej Kręglarski dla Osób Niepełnosprawnych z Południowej Wielkopolski. Jest on tradycyjnie traktowany jak rozpoczęcie roku sportowego dla niepełnosprawnych sportowców z Kalisza i Ziemi Kaliskiej. Zawody w kręgle i cymbergaja zorganizowali: Fundacja Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych „Miłosierdzie”, Klub Sportowy Osób Niepełnosprawnych „BASTION” i Warsztat Terapii Zajęciowej w Kaliszu.

W tegorocznej edycji udział wzięło 16 drużyn, łącznie 78 zawodników. Były to dwa warsztaty terapii zajęciowej w Kaliszu oraz Klub „Bastion”, Środowiskowy Dom Samopomocy „Tulipan” i Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy nr 1, wszystkie również w Kaliszu, ŚDS-sy w Nowych Skalmierzycach, Doruchowie i Kuźnicy Grabowskiej, Dom Pomocy Społecznej w Broniszewicach oraz warsztaty terapii zajęciowej w Kuźnicy Grabowskiej, Pisarzowicach, Przygodzicach, Odolanowie, Do-

ruchowie, Ostrowie Wielkopolskim i Ostrzeszowie.

Obecni byli m.in.: Mateusz Podsadny, wiceprezydent Kalisza, Karolina Sadowska, radna Miasta, Eugenia Jahura, dyrektor MOPS i Stanisław Bronz, prezes Fundacji „Miłosierdzie”. Turniejowe trofea ufundował Prezydent Miasta Kalisza, a nagrody rzeczowe – Stanisław Bronz i Klub Sportowy Osób Niepełnosprawnych „Bastion”.

Zwycięskie drużyny w kręglach: 1 miejsce WTZ w Kuźnicy Grabowskiej, 2 – SOSW nr 1 w Kaliszu, 3 – WTZ przy Centrum ks. Orione w Kaliszu.

Zwycięzcy indywidualni w tej konkurencji: 1 miejsce Leszek Szymenfelik, WTZ w Kuźnicy Grabowskiej, 2 – Zbigniew Cicharski, ŚDS w Nowych Skalmierzycach, 3 – Marcelina Karolak, SOSW nr 1 w Kaliszu.

Zwycięzcy w cymbergaja: 1 miejsce Jacek Zagórski, WTZ „Tęcza” w Ostrowie Wlkp., 2 – Anna Chaładyn, KSON „BASTION” w Kaliszu, 3 – Mariusz Wajchert, DPS Broniszewice.

MARIUSZ PATYSIAK



Marek Kalbarczyk
WARSZAWA

„Kosz” w tytule to skrótowne określenie popularnej dyscypliny sportu. To prawda, w Polsce nie jest ona najbardziej popularna i nie może konkurować z takimi dyscyplinami jak piłka nożna, skoki narciarskie czy lekkoatletyka, ale w wielu innych krajach – i owszem. Królujecie w Stanach Zjednoczonych, gdzie polskie słowo „kosz” nie jest zrozumiałe. Tam jest basketball. Ale niezależnie od tego, czy znalazłaby się tam pełna nazwa sportu, pytanie tam zawarte i tak pozostałoby niejasne. Niewidomy grający w kosza?

Proszę sobie wyobrazić, że są niewidomi, którzy żałują, że nie mogą grać i bronią się przed utratą wszystkiego, co bez patrzenia jest trudne lub wręcz niemożliwe, bawią się piłką i niektórymi, dosiężnymi elementami tej gry. Sam kiedyś tak się bawiłem. Zamontowanie kosza na drzewie to błażostka, wzięcie do rąk piłki i rzucanie do niego – nic prostszego. Wprawdzie trafienie do środka kosza jest rzeczywiście trudne – ale jednak możliwe. Należy dobrze rozpoznać przestrzeń, zlokalizować kosz w relacji do miejsca, w którym stoimy, wyczuć odległość i kierunek, stanąć nieruchomo i rzucić. Wpadnie czy nie wpadnie? Zależy to od odległości. Jasne, że gdy będzie blisko, wpadnie zawsze, jednak przecież nie o to chodzi. Odsuwamy się więc, by zwiększyć trudność i atrakcyjność zabawy. Z kilku metrów piłka wpada tylko czasem. Nie można wygrać ciągle, ale też nie można nieustannie przegrywać. I tak bawią się niewidomi z widzącymi. Wszyscy rzucają tak samo – jedni widząc kosz naprawdę, inni nie, lokalizując go w pamięci; jedni niewidomi w pamięci wzrokowej, inni w jakiejś nieokreślonej pamięci przestrzennej.

Znałem niewidomych, którzy potrafili jeszcze więcej. Rzucali do kosza w ruchu. Owszem, nie było to, jak w prawdziwej koszykówce, ale jednak należało się poruszać po boisku, mijając kogoś, kto bronił dostępu do kosza i rzucać. Czy wtedy udawało się trafić? I owszem – może nie często, ale

nie o to chodziło. Ważna była zabawa, ruch, fizyczna aktywność, śmiech, wreszcie również konkurowanie z innymi. Podobnie bawiliśmy się w piłkę nożną. Biegaliśmy po boisku w kilka osób, mieliśmy jedną piłkę, dwie bramki, bramkarzy i o wiele więcej ochoty, niż umiejętności. Piłka dzwięczała, więc wiedzieliśmy, gdzie jest. „Dzwięczeli” też zawodnicy, a mówiąc precyzyjnie „dawali głos”, by o ich pozycji wiedzieli inni. Cel był ten sam, co w zwykłej piłce nożnej: ominąć obrońców i trafić do siatki!

Artykuł nie jest jednak o sporcie, koszykówce, ani o piłce nożnej. Jest o niewidomych w mieście, albo, mówiąc precyzyjnie – o ich sytuacji – i o widzących, którzy mają na to wpływ. Zapewne czytali Państwo w moich artykułach o tym, jak niewidomi mają się w rozmaitych okolicznościach, ostatnio w centrach handlowych. Teraz postaram się opowiedzieć, jak to jest wyjść z domu i znaleźć się w „dzikiej dżungli” miasta. O tym, jak to jest wyjść z domu i dotrzeć chociażby do przystanku autobusowego czy tramwajowego, chyba już pisałem. Omińmy tę wstępną fazę, by „znaleźć się” już dalej.

Skoro ja mieszkam w Warszawie, niech mi będzie wolno opowiadać o centrum tego miasta. Naprawdę gdzie indziej jest identycznie. Nie ma różnicy w układzie polskich miast, szczególnie ich centrów, czyli miejsc, gdzie kumuluje się zarówno uliczny ruch, jak i tłum pieszych. Dookoła hałas (często niebotyczny), że aż trudno usłyszeć to, co jest niezbędne by trafić do celu. Widzącym hałas przeszkadza mniej, gdyż skanują otoczenie wzrokiem. Mają ją przed oczami całościowo. Hałas jest dokuczliwy, ale nie zasłania obrazu i widać ulice, chodniki, zabudowania, na ulicy pojazdy, na chodnikach pieszych, w budynkach witryny sklepów, tabliczki z informacjami, co się tam znajduje. Wszystko naraz i wszystko dostępne w tym samym momencie. Gdy się nie widzi, jest zupełnie inaczej. Co my widzimy? Uf, jak to: „widzimy”? Mam na myśli nasze trzecie oko, czyli oko naszej wyobraźni. Mamy przed nim obraz zbudowany na podstawie bodźców, które do nas docierają, a więc przede wszystkim na podstawie odgłosów, ale także zapachów. Troszkę pomaga nam dotyk, ale tylko



FOT. (2X) MARIUSZ PATYSIAK

Czy ten niewidomy grał w kosza?

w odniesieniu do najbliższego otoczenia. Wiemy bowiem to, co wymacamy butami i „obejrzymy” przy pomocy przedłużenia ręki, czyli białej laski.

Obraz, który tworzymy w swojej wyobraźni, jest kiepskiej jakości. Na dodatek zawiera mnóstwo luk, jakichś ciemnych plam, a ich ilość rośnie wraz z hałasem, który panuje dokoła. Potrzebne są konkretne odgłosy, a nie jednolity, nieidentyfikowalny szum. Gdy mijają nas mnóstwo samochodów, które zagłuszają jeden drugiego oraz pieszych, którzy też wykrzykują, bo muszą przekrzyczeć ten hałas, tracimy orientację. Na szczęście hałas nie zaburza tego, o czym dowiadujemy się stopami i dzięki lasce. Są czynniki zaburzające nawet ten ogląd, trudno bowiem wiedzieć, na jakim jesteśmy podłożu, gdy pada śnieg albo rzęsy deszcz. Głównym wrogiem pozostaje hałas.

Jednak nawet przy tych ogromnych trudnościach niewidomi jakoś sobie radzą. Wyjeżdżają z domu do centrum Warszawy, na przykład na ulicę Nowy Świat, starając się dotrzeć do salonu naszej Fundacji „Szansa dla Niewidomych”, który znajduje się właśnie w jej okolicy. Można tam dojechać metrem albo autobusem, ale i tak zostaje jeszcze kilkaset metrów do pokonania. Jest teraz nieco łatwiej, ponieważ ogranicza się tam uliczny ruch, ale i tak jest on duży i mnóstwo pieszych. Zanim dotrzemy na ten Nowy Świat, trzeba poradzić sobie z problemem prawidłowego wyjścia z metra. Ba, którą? Gdzie jest właściwe wyjście? Przecież nie chcemy wyjść w stronę Krakowskiego Przedmieścia i Uniwersytetu Warszawskiego, albo w stronę Marszałkowskiej i Pałacu Kultury i Nauki, lecz w stronę Alei Jerozolimskich i Ronda de Gaulle’a. Ci niewidomi, którzy chodzą tędy często, wiedzą jak trafić. Inni mogą obejrzeć wypukłe plany na stacji, które są tam zamontowane – te, które

wywołały tyle niezdrowych i niepotrzebnych emocji.

Pewnie mało kto spośród Czytelników wie, o czym piszę, gdyż większość nie mieszka w stolicy i sprawa ich nie dotyczyła. Otóż jakiś czas temu warszawska firma Zarząd Transportu Miejskiego w Warszawie ogłosiła przetarg na zamontowanie planów stacji warszawskiego metra dla niewidomych. Miały być metalowe i nieudźwiękowione. Właśnie takie są. Kontrowersje dotyczyły rozmaitych szczegółów, na przykład tego, dlaczego są metalowe, gdy niewidomi wolą plany z innego tworzywa. Stał jest zimna i trudno oglądać palcami takie plany szczególnie zimą, ale nawet wiosną czy jesienią w praktyce nie są dostępne. Dlaczego plany te nie mówią? Przecież wielu niewidomych nie potrafi odczytywać wypukłych obrazów. Można przygotować wypukłe wizerunki pałaców, zamków, kościołów, albo mapy fizyczne lub polityczne i wykonać je z największą precyzją i dbałością, a i tak ci niewidomi, którzy nie zostali odpowiednio przeszkoleni, nic z nich nie rozumieją.

Nie zmienia to faktu, że inni to potrafią i bardzo się cieszą, gdy je spotykają na mieście. Wśród nich jestem ja. Być może dlatego, że kiedyś widziałem, korzystam z tak zwanego trzeciego oka. Wszelkie uwypuklone obrazy są dla mnie zrozumiałe i wiele mi dają. Nie wyobrażam sobie zapoznawania się z otoczeniem bez nich. No więc na stacjach metra są metalowe plany i można się dowiedzieć, gdzie prowadzą poszczególne wyjścia. Potem już tylko marsz wzdłuż Nowego Świata, przemieszczanie się pomiędzy pieszymi i wszystkim, co zajmuje chodnik. Łatwo nie jest, ale jakoś się da.

Ale nie to stanowi główną treść mojego artykułu. Myśl o niej przyszła mi do głowy, gdy coś ważnego oburzyło moją żonę. Była na mieście, jechała

samochodem. Przystanęła akurat stała na światłach, jednak była w aucie i nie była w stanie udzielić pieszu niewidomego pomocy. Ale umożliwiło to jej przekonanie się, jak trudno na mieście mają niewidomi. Było to w pobliżu wejścia do metra – na warszawskim Placu Wilsona. Zobaczyła niewidomego kierującego się w stronę wejścia na stację. Tam też panuje niebotyczny zgiełk. To jeden z głównych węzłów komunikacyjnych stolicy. Tędy wyjeżdża się ze Śródmieścia na Żoliborz, albo z powrotem lub udaje się w stronę Wisły na najwygodniejszą trasę przejazdową – Włostradę. Jak wspominałem, są tam wejścia i wyjścia z metra, sporo linii autobusowych i tramwajowych, nie mówiąc o samochodach i samych pieszych. Jak się czuje w tym tłoku niewidomy? Wędrowałem tędy często, tyle, że dosyć dawno temu. To było na mojej trasie z domu na studia. Tędy jeżdżą wszyscy Żoliborzanie i Bielanie. Wtedy był mniejszy ruch, a mimo to było ciężko. A teraz?

Niewidomy się zatrzymał. Posługiwał się białą laską i chyba dobrze nią władał, a jednak to nie wystarczało. Utknął na dobre. Co robił? Pewnie szukał drogi. Niewykluczone, że się pogubił i nie wiedział, którądy iść. To normalne – często przecież nie wiemy, gdzie i jak iść. Był zamotany albo zakręcony i wykonywał dziwne ruchy. Dla nas są zrozumiałe, ale, jak się okazało, nie dla innych pieszych. Żona w samochodzie, a inni obok! Przechodzą i przechodzą, spieszą się i mijają niewidomego, a on pracuje białą laską i szuka informacji o otoczeniu. Wejście do metra naprawdę niedaleko, a mimo to właśnie tutaj utknął. Dziwaczne ruchy podobno wyglądały jakby walczył z przeszkodą, albo z nią się bawił, a był to miejski kosz na śmieci! Chyba się nie połapał, że to kosz i właśnie go „ogarniał”. Machał laską w lewo i prawo, by to ustalić. I trwało to wyraźnie długo. Akurat żona stała na światłach i

obserwowała to z rosnącym oburzeniem – co wyrabiają przechodnie?! Dlaczego nie reagują i nie pomagają? Przecież wystarczy się zatrzymać, podejść i zapytać: „W czym panu pomóc”, albo: „Czy mogę w czymś pomóc?”. To przecież proste, a jednak nie!

Często widzący mijają niewidomych i innych niepełnosprawnych, i nie pomagają. Dlaczego? Czego im brak? Sądzę, że nie brakuje im zwykłej ludzkiej empatii. Chyba chodzi raczej o brak umiejętności, niezrozumienie, brak kontaktu z nami. W praktyce nie ma nas w szkołach, na uczelniach, a głównie w mediach. Nie wystarczy jedno czy drugie „drobne” spotkanie, by wszystko było jasne. Trzeba wielu spotkań i nie dlatego, że materia jest specjalnie trudna, lecz że jest specyficzna. Wszystko, co niestandardowe, musi być lepiej wyjaśniane i częściej pokazywane. Po jednym spotkaniu jest dobrze tylko „na chwilę”. Mija parę dni czy tygodni i zapomina się, jak to jest nie widzieć.

Gdy usłyszałem tę historię, pomyślałem, oczywiście absurdalnie, groteskowo, że ci piesi nie reagowali dlatego, że wydało im się, że gość bawi się w kosza. Dla tych, którzy nas, niewidomych, nie spotykają, obmacywanie miejskiego kosza białą laską jest zbyt abstrakcyjne, by zachowali się realistycznie i okazali pomoc. No, to tylko taki sobie żart. Oczywiście, że sytuacja była jasna, a postawa tych ludzi naganna i nie znajduję dla nich żadnego usprawiedliwienia. Niestety, tak jest często, mimo że mówi się, że jest już tak dobrze. Nie, nie jest, i daleko nam do tego. Niepełnosprawni pozostają daleko w tyle za innymi i wcale nie nadrabiamy dystansu. Niech ten kosz, który nam przeszkadza na naszej drodze i koszykówka zostaną symbolami różnicowania sytuacji sprawnych i sprawniejszych, albo inaczej – niepełnosprawnych i niepełnosprawniejszych!

Scenka na korytarzu szpitala: na ławce siedzi matka, a obok niej płacze córeczka. Matka stara się ją uspokoić, pociesza, że nie będzie bolało. Przechodząca korytarzem pielęgniarka uśmiecha się do dziewczynki, głaszcze ją po głowce, mówiąc: „nie płacz tak, bo wypadną ci wszystkie rzęsy”. Dziecko zaniosło się szlochem, wcisnęło głowę w ramiona matki.

Byłam zdumiona: po raz pierwszy usłyszałam taki argument! A zapewne każdy z nas zna dziesiątki argumentów, jakimi dorośli starają się przekonać dzieci, aby zaprzestały płaczu. Ale żeby rzęsy miały wypaść? Argument ten niewątpliwie należy do kategorii zagrażających fizycznie i nie ma tu znaczenia, że pielęgniarka była naprawdę miła i nie miała złej woli.

Inne argumenty z takiej samej kategorii, to na przykład „wypłaczesz sobie oczy”, „utopisz się we łzach”, „odwodnisz się i pójdziesz do szpitala”.

Druga kategoria argumentów jakimi niekiedy posługują się dorośli wobec płaczącego dziecka, to zagrożenia emocjonalne. Na przykład: „zbrzydniesz od tego płaczu”, „nikt nie będzie ciebie lubił”, „tatus nie wróci z pracy, jak tak dalej będziesz płakał”.

Rzadziej stosowane są argumenty jakie można by zakwalifikować do kategorii zagrożeń umysłowych. Dowiedziałam się jednak, że i takie są kierowane do płaczących dzieci, jak na przykład „wypłaczesz sobie myśli”, albo „złupiejesz od takiego ryku”.

A płacze każde dziecko bez wyjątku i to nie tylko dlatego, że płacz jest najwcześniejszą ekspresją emocji, jaka pojawia się już u noworodka, w chwilę po urodzeniu. Dla takiego malusz-

Co sygnalizuje płacz

ka jest on uzewnętrznieniem jego ogólnego stanu emocjonalnego, wyrazem negatywnych uczuć, dyskomfortu. Bo jakże tu się cieszyć z zamiany ciepłego i bezpiecznego świata wewnątrz matczynej macicy, na nagłą zmianę, przy tym niekiedy na wyjście w chłód, hałas, w oslepiające światło szpitalnych lamp?

W kolejnych dniach i tygodniach płacz pozostaje głównym sposobem niemowlęcia sygnalizowania dorosłym swojego niezadowolenia: głodu, chłodu, mokrej pieluchy. Nieco później także braku bliskości z matką. I stopniowo sygnał ten obejmuje coraz więcej różnych sytuacji niezadowolenia: a to wypadł smoczek, a to nie można sięgnąć po zabawkę, a jeszcze później dziecięce frustracje dotyczą współżycia z rówieśnikami.

Dzieci płaczą z różną intensywnością i z różną częstością, co zależy w głównej mierze od ich temperamentu, ale też od skuteczności płaczu. Płacz niemowlęcia jest dla jego rodziców z reguły sygnałem do usunięcia jego przyczyny, płaczem można więc przywołać mamę i dostać smaczne papu, a w dodatku zaznać ciepła jej ciała, być tulonym i kołysanym. Dla dorosłych płacz niemowlęcia jest sygnałem do zaspokojenia jego potrzeb.

Jednakże płkanie nie jest doświadczeniem przyjemnym i dziecko szybko przekonuje się,

że również uśmiech i gawożenie skłaniają dorosłych do obdarzania go czułością. Posługuje się więc nimi dla wzbudzenia zainteresowania, dla uzyskania uczuciowego kontaktu. Tak więc płaczem dziecko komunikuje, że nie jest mu dobrze, a uśmiechem, że jest wspaniale.

Zdrowe i dobrze wychowywane dziecko, którego zarówno fizyczne jak i psychiczne potrzeby są zaspokajane, płacze niewiele i tylko wtedy, gdy rzeczywiście czegoś mu brak. Zazwyczaj też szybko uczy się odrobiny cierpliwości, gdy matka nie odpowiada na jego sygnały natychmiast. Natomiast dzieci o słabym zdrowiu, wychowywane nadopiekuńczo, gdy matka jest pobudzona nerwowo płaczem dziecka – płaczą często, a niekiedy posługują się płaczem „instrumentalnie”, to znaczy za jego pośrednictwem manipulują dorosłymi. Nie chcę jeść kaszki? No to buuu... Nie chcę oddać braciszkowi zabawki? Jak zapłacze, to może ustąpi. W tego typu sytuacjach niezbędna jest konsekwencja dorosłych, nie ustępowanie dziecku w błahej sprawie, ale zarazem zachowanie spokoju. Nie pozwólmy, aby dziecko nami manipulowało, ale też nie posądzajmy je o to przedwcześnie. Reakcja płaczu może być bowiem jedynie spontaniczną reakcją na drobną frustrację, w dodatku często niechcianą. Większość dzieci nie lubi płakać, jak również nie manipuluje rodzicami.

Emocje powstają w nas bez naszej woli, są „nieproszone”. Dlatego nigdy nie należy za nie karcić dziecka, ale też nie nasilać jego negatywnych emocji, nie rozczulać się za bardzo nad płaczącym dzieckiem, bowiem w ten sposób nie pomożemy mu w nauce kontroli emocji. Owszem, zależnie od sytuacji należy je pocieszyć i przytulić, pocałować stłuczone kolano („żeby przestało boleć”) i spróbować nawiązać rozmowę – trudno jest równocześnie mówić i płakać. Dziecko ma prawo uzewnętrzniać swoje uczucia, ważny jest jednak sposób, w jaki to czyni. Radość niech

wyraża jak chce, także całym ciałem i burzliwie. Jednakże na przykład złość powinna być „okiełznana”, to znaczy uczymy dziecko mówienia, że się złości, zamiast tupania i krzyku.

A co do płaczu, to w tradycyjnym wychowaniu chłopców, oczekuje się od nich tłumienia płaczu. Już przedszkolakowi „nie wypada” płakać (bo przecież nie jest „beksą” albo „ryczkiem”, bo tylko dziewczynki płaczą). I chłopcy, łykając swoje łzy, często razem z nimi łykają zdolność do wyrażania uczuć słabości.

Obecnie wielu rodziców słusznie odchodzi od takiego modelu „męczyzny silnego od zarania życia”. Wolno więc płakać przedszkolakowi, ale równocześnie uczy się go skupienia uwagi nie na płaczu, ale na jego przyczynie. I do tej przyczyny przedszkolak powinien umieć się ustosunkować, „coś z tym zrobić”, aby znowu się nie pojawiła. Innymi słowy: nie tłumiąc ekspresji emocji, uczy się dziecko ich rozumienia i wpływania na sytuację, w jakich emocje się pojawiają. Oczywiście mowa tu o emocjach zwanych negatywnymi, czyli przykrymi, jak na przykład złość, gniew, smutek czy rozczarowanie.

Jest rzeczą zrozumiałą, że inaczej reagują rodzice na płacz małego dziecka, a inaczej na starszego. Jednak nigdy, niezależnie od wieku dziecka oraz sytuacji, nie należy naśmiewać się z płaczącego dziecka. A także nie kierować do niego słów związanych z jakimkolwiek zagrożeniem – nawet w najlepszej wierze. Bowiem absurdalne słowa dorosłych, w które spokojne dziecko z pewnością by nie uwierzyło – w sytuacji silnego pobudzenia emocjonalnego mogą nasilić jego niepokój. A przecież dzieci płaczą nie tylko z powodu popsucia się zabawki czy innych drobnych rozczarowań codziennego życia. Nie tak rzadko płacz dziecka sygnalizuje wielki lęk, głęboką rozpacz i nie do zniesienia ból.

IRENA OBUCHOWSKA
Z KSIĄŻKI „KOCHAĆ I ROZUMIEĆ” CZ. III



FOT. KAROLINA KASPRZAK



Monika
Janc
POŁAJEWO

Katarzyna Pawluś (na zdjęciach) to dzisiaj 40-letnia kobieta, która mimo wieloletnich zmagających z ciężką chorobą wciąż potrafi cieszyć się życiem, pomagać innym i realizować swoje marzenia. Jej dokonania budzą podziw. Jest blogerką, autorką książki „Jedna na milion”, szczęśliwą żoną i mamą.

Kasia urodziła się w Głogowie. Tu chodziła do szkoły podstawowej i średniej. Była w klasie pływackiej i często wyjeżdżała na obozy. Ponadto uczyła się gry na fortepianie i języka angielskiego. Dzięki pogodnemu usposobieniu zawsze miała wokół siebie wielu przyjaciół. Od najmłodszych lat otoczona była miłością, wsparciem rodziców i brata. Do działania motywował ją tata. „Jeśli cokolwiek chcesz osiągnąć – mów! – to musisz pracować i rozwijać się, a zdobędziesz szczyty!”.

Sielanka trwała do siódmego roku życia, gdy zaatakowała ją choroba. Trafiła do Instytutu Reumatologicznego w Warszawie. Zaczęła odczuwać ból w lewej nodze i przestała chodzić. Diagnoza była dla rodziców szokiem. Rozpoznano twardzinę ograniczoną, z którą nie dożywa się dwudziestu lat. Jest to przewlekła choroba tkanki łącznej, objawiająca się m.in. zmianami skórnymi w postaci stwardnień. Może dotyczyć także narządu ruchu, zmian w obrębie ośrodkowego układu nerwowego i wzroku. Niesymetryczne ciało Kasi jest efektem tej choroby.

– Linia podziału biegnie przez środek ciała – mówi. – Po lewej stronie wszystko mam mniejsze: rękę, pierś, pośladek, brzuch i twarz. Na przykład noga jest chudsza o 8 centymetrów, a krótsza o 4 centymetry. Mam tak od 7 roku życia.

Kilka lat spędziła w szpitalu w Warszawie – z przerwami, gdy stan zapalny zniknął – by następnie przenieść się do sanatorium w Cieplicach. Uczęszczała tu do szkoły podstawowej i na zabiegi rehabilitacyjne. Rodzice odwiedzali ją w weekendy. Po długim okresie leczenia i rehabilitacji choroba

Cieszyć się życiem, pomagać innym



wreszcie przeszła w stan remisji. Stało się to, o czym Kasia marzyła całe dzieciństwo. Podjęła naukę w szkole średniej, potem studia o specjalności projektowanie terenów zielonych i coaching. Przez kilka lat pracowała jako przedstawiciel w firmach farmaceutycznych Glaxo Smith Kline i Bristol Meyer Squibb. Cieszyła się każdym dniem.

Od 2002 roku jest szczęśliwą mężatką. Razem z Radosławem wychowują trójkę dzieci – ośmioletnią Antosię i zaadoptowane ośmioletnie bliźniaki Jasia i Bartusia. W 2011 roku Kasia przeprowadziła się z mężem i dziećmi do Norwegii do Alesund. Utworzyła szkołę języka angielskiego i szkołę motywacji. Pracowała ciężko, ale czuła się szczęśliwa i spełniona.

Niestety, pewnego dnia wychodząc z pracy upadła. Doznała wylewu krwi do mózgu i straciła przytomność. Ze szpitala w Alesund została przetransportowana samolotem do Oslo i wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej. Po trzech tygodniach lekarze zdecydowali o wybudzeniu.

– To był najgorszy dzień w moim życiu – mówi. – Nie widziałam żadnych pozytywów. Moja lupa, którą wyolbrzymiałam dobro, rozbiła się na milion kawałków. Płakałam. Nie mogłam ruszać rękoma, nogami, miałam podpięte kable w każdą dziurę mojego

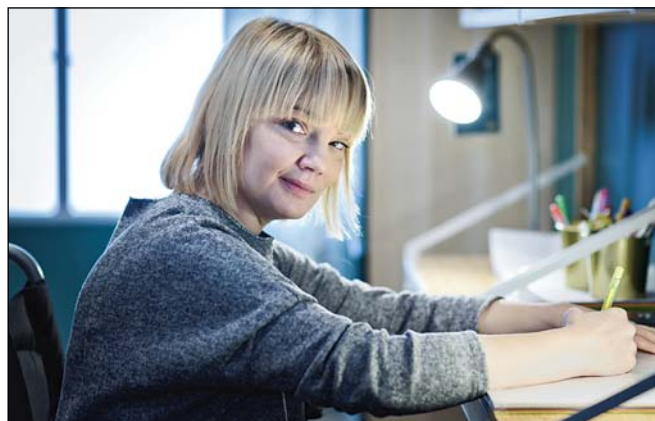
organizmu i słyszałam ciszę! Taką najbardziej przerażającą ciszę w szpitalu i nic nie rozumiałam.

Marzyła o normalnym, rodzinnym życiu, chciała czuć się potrzebna innym i realizować swoje marzenia. Dlatego mimo ciężkich porażek intensywnie ćwiczyła, wyznaczając sobie kolejne cele do osiągnięcia. Starła się zobaczyć w tych trudnych doświadczeniach jakieś pozytywne strony. Wiedziała, że się nie podda, bo jak mówi „widocznie Bóg jeszcze ze mną nie skończył”. Spotkany na szpitalnym korytarzu chłopak, który stracił w wypadku obie nogi, powiedział: „Jeśli sama nie doświadczasz cudu, bądź cudem dla innych”. Tymi słowami wzmocnił w Kasi chęć pomocy innym pacjentom.

Niestety jej stan zdrowia nadal jest bardzo skomplikowany. Część lekarzy uważa, że to rak naczyń krwionośnych, inni, że to udary wynikające ze stanów zapalnych naczyń mózgowych. Podejrzewają również neuroboreliozę. Ostatecznego rozpoznania jednak nie postawił nikt. Nie ma lekarstwa, które chroni przed sklejaniem się naczyń, więc choroba postępuje i nieuchronnie prowadzi do śmierci. Ataki padaczki, wylewy, kłopoty z oddychaniem, zaburzenia równowagi, ogromny ból łagodzony morfiną i częste pobyty w szpitalu sprawiły, że pomyślała o eutanazji. Napisała do kliniki w Szwajcarii i otrzymała odpowiedź, że jest zakwalifikowana.

Ale, jak mówi, „ktoś z przyjaciół powiedział mi, że to jeszcze nie ten moment”. Została zatrudniona w szpitalu w Oslo jako pomoc psychologiczną dla pacjentów. Dwa razy w tygodniu spotykała się z umierającymi, którzy dzięki rozmowom z nią odchodzili pogodzeni i spokojni. Pomagając chorym Kasia przestała myśleć o śmierci i skupiła się na głoszeniu radości życia. Zrozumiała, że eutanazja „to nie było żadne rozwiązanie, tylko ucieczka od koshmaru”. W 2017 roku ukazała się jej książka pt. „Jedna na milion. Czyli tam i z powrotem”.

W styczniu 2018 roku Kasia razem z rodziną wróciła do Polski i zamieszkała w rodzinnym Głogowie. Mimo poważnej choroby jest aktywna nie tylko na blogu, ale także w kontaktach z ludźmi. Nie przeszkadza jej w tym wózek inwalidzki, chodzik ani ogromny i towarzyszący nieustannie ból. Prowadzi spotkania autorskie, opowiada o sobie i pokazuje, jak cieszyć się życiem. Jest dla wielu osób inspiracją i wzorem. Jedną z nich jest Tomasz Bogdański z Pępowa koło Gostynia. Z jego inicjatywy i na zaproszenie Elżbiety Pałki, prezesa Gostyńskiego Stowarzyszenia na rzecz Kobiet „Jestem” odbyło się 6 grudnia 2018 roku spotkanie autorskie Kasi. Opowiadała o sobie, o książce i o radości życia. „Każdy z nas ma wielkie szczęście – mówiła. – Każdy jest cudem, tylko musi to odkryć w sobie”.



FOT. (2X) ARCHIWUM PRYWATNE

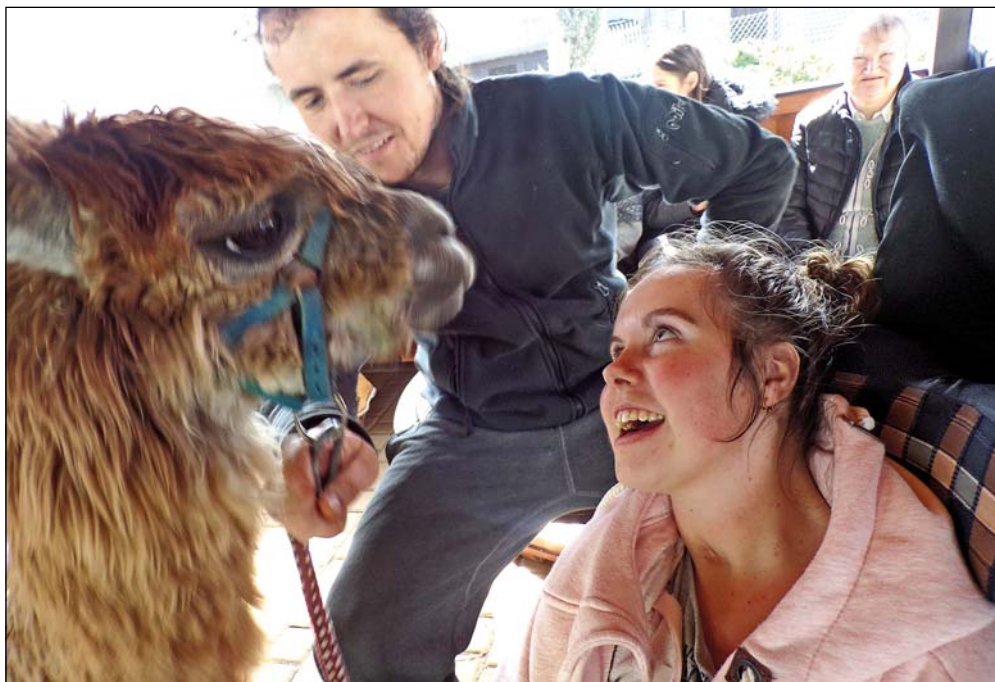
5 kwietnia byliśmy na alpakach. Były to zajęcia koło Złotowa. Tam głaskaliśmy alpaki, karmiliśmy alpaki marchewką i tuliliśmy się do alpaki. Przyjemne futro miały te alpaki. Zdjęcia robił nam pan Wojtek, nasz psycholog. Później były różne gry i zabawy po tym, jak pan opowiedział o alpakach.

Potem napiliśmy się herbaty gorącej z cytryną. Dostaliśmy, każdy po prezencie ze Złotowa, aby właśnie każdy o tym miejscu pamiętał. Niektórzy dostali przepaskę na rękę, inni długopis. Jedna nasza drużyna w grach wygrała, druga przegrała. Bardzo mi się podobało na tych alpakach, bo mają miękkie futerko. Ja dostałem długopis. Później poszliśmy do autobusu i wyjechaliśmy do „Iskry”.

MARCIN TYRCHA

Na zajęcia terapeutyczne z alpakami pojechaliśmy autokarem. Na miejscu poszliśmy do budynku, przyszyły do nas panie i podzieliлись się na dwie grupy, pierwsza poszła na zabawy, druga grupa poszła do alpaki. Pan nam dużo

Miłe futro



alpaki

mówił o nich i mogliśmy je pogłaskać, nakarmić marchewkami i przytulić je. Każdy z nas podchodził do alpaki, miały one swoje imiona, na przykład Bajka, Żłota, Martini. Potem były zabawy: kolorowa chusta z piłkami i ciągnięcie liny, rzucanie piłeczkami do

celu. Na koniec było ognisko z kiełbaskami i ciepła herbata. Przy ognisku siedzieliśmy i rozmawialiśmy, i była fajna muzyka. I były też króliki. Po tem wróciliśmy autokarem do Poznania.

ANNA KONOPACKA



FOT. (4X) WOJCIECH ŁUKASZEK

Doprowadza do łez

18 marca z grupą uczestników „Iskry” i z terapeutami pojechaliśmy tramwajem do kina „Helios” na film „Całe szczęście”.

Film opowiada o losie samotnego ojca, który po śmier-

ci żony sam wychowuje syna Filipa. Pewnego ciepłego dnia poznaje kobietę, w której się zakochuje. Film jest zabawny i wzruszający. Momentami doprowadza ludzi do łez.

MARTA WAWRZYNIAK



FOT. PAWEŁ KRZEWINA

W kawiarni „Pora dnia”

15 marca z grupą uczestników „Iskry” i trzema terapeutami pojechaliśmy tramwajem do kawiarni „Pora dnia” na ulicy Różanej.

Weszliśmy do środka, zajęliśmy miejsca, zdjęliśmy kurtki, bluzy, czapki, szale, rękawiczki. Pan Tomek robił listę zamówień,

któ do chce zjeść, komu herbatę, komu kawę. Pan Marcin robił zdjęcia, jedliśmy, rozmawialiśmy i było bardzo wesoło. Potem poszliśmy piechotą na przystanek tramwajowy i wróciliśmy do „Iskry” zmęczeni, ale szczęśliwi.

MARTA WAWRZYNIAK



FOT. ARCHIWUM

Każdemu tytuł „Super kucharz”

1 kwietnia nasz Środowiskowy Dom Samopomocy „Iskra” zorganizował wyjazd do Puszczykowa na zajęcia kulinarne. Pojechaliśmy busem. Jak dojechalśmy na miejsce, to przy furtce między płotami stał drewniany domek. Ale to była cukiernia.

Najpierw poszliśmy do pierwszej sali i mogliśmy usiąść i poczekać. Poczęstowali nas herbatą, kawą, sokiem, wodą do picia i ciasteczkami. Jak przyszła gospodyni, to zaprosiła nas do drugiej sali, gdzie pracowaliśmy i usiedliśmy na krzesłach przy deskach. Przyszedł pan Jacek i dał nam ciasto, robiliśmy z niego bułki. Jak je zrobiliśmy, to każdy z nas mógł je posmarować białkiem i posypać makiem. Pan dał nam papier do pieczenia, panie go podpisywały imieniem i nazwiskiem i kładliśmy na to nasze bułki, potem pan zbierał i wkładał na blachę srebrną i do piekarnika. Jak się piekły, to poczęstowali nas zupą porową i spaghetti.

Potem przyszedł pan i rozdawał nam nasze upieczone bułki. A potem dostaliśmy dyplom i przepis, mogliśmy pochować nasze bułki do woreczków. Pan piekarz pokazał nam też, jak się piecze i zwiija chałki, pokazywał, jak się piecze ciasto w piekarniku i to był koniec pierwszego dnia. Pan nam też powiedział, że pracuje koło kościoła dla probostwa w cukierni.

Dzień drugi to zajęcia z panią Alicją i panią Adrianną. Z paniami robiliśmy od podstaw

ciasto. Jak było zrobione, to wyrabialiśmy i kroiliśmy szynkę i obrabialiśmy ser żółty i warzywa, robiliśmy sos pomidorowy, a potem zjedliśmy zupę pomidorową z makaronem i naszą pizzę.

Trzeciego dnia mieliśmy niepodziankę – robiliśmy tortillę, kroiliśmy warzywa, potem dostaliśmy naleśniki i smarowaliśmy sosem czosnkowym, i na to warzywa, zawijaliśmy to i zjedliśmy. Potem poszliśmy na spacer. Jak wróciliśmy, to robiliśmy desery. Pani nam rozdała pucharki z lodami i kładliśmy na to owoce, które kroiliśmy i na to śmietana bita i polewa czekoladowa – było dobre. Na koniec dostaliśmy wszyscy po drewnianej łyżce z napisem super kucharz i nasze imię i nazwisko.

ANNA KONOPACKA

W poniedziałek 1 kwietnia wypiekałem bułkę w piecu i wyszła bardzo dobra. I dostałem dyplom za uczestnictwo w warsztatach pieczenia ciasta. A we wtorek robiłem pizzę i zawijałem końcówki. A w środę robiłem tortillę. Można było spróbować, jak smakuje pizza i tortilla. Spróbowałem – i była bardzo dobra. A drugą tortillę zabraliśmy do domu i też mi smakowała. I robiliśmy lody, ja kroilem kiwi, banany i winogrona. I jedliśmy te lody i były bardzo dobre. Szkoda, że warsztaty kulinarne tak szybko się skończyły. Chciałbym, aby takie warsztaty były znowu.

RYSZARD OUDINET



FOT. ALEKSANDRA KONIECZNA

Moje malowanie

Moją pierwszą, dużą pracą malarską, którą miałam okazję namalować na zajęciach w Środowiskowym Domu Samopomocy „Iskra”, była „Sowa”, bo sowy są śmieszne, zabawne i są miękkie jak puch. Obraz przedstawiający sowę w czapce zaczęłam malować już w lutym, a skończyłam w marcu.

A moją drugą pracą, którą też malowałam, jest „Dziewczynka”, którą zaczęłam malować w marcu, a skończyłam w kwietniu. Obraz przedstawiający dziewczynkę, która stawia pierwsze kroki, to był świetny pomysł.

Lubię malować, bo to nie tylko wycisza i uspokaja, i można nie myśleć o żadnych głupotach, a efekty po zakończeniu pracy są zaskakujące. Jak się maluje farbami, to trzeba być skupionym i nie myśleć o niczym. Obraz z sową to był mój pomysł, dlatego, że jest dużo różowego, bo to jest ulubiony kolor mojej bratanicy Hani. Malowanie obrazu to świetna zabawa, bo można komuś zrobić zaskakującą niespodziankę. Lubię malować obrazy, bo można się skupić i nie słuchać, jak ktoś mówi dziwne rzeczy. Bardzo polecam malować obrazy farbami, bo to jest bardzo fajne.

MARTA WAWRZYNIAK



„Sowa”.



„Dziewczynka”.



Autorka tekstu i obrazów przy pracy.

Błąd w „Poczcie Filantropa”

**poczta
FILANTROPA**

W kwietniowym wydaniu naszego miesięcznika „Filantrop Naszych Czasów” opublikowaliśmy na stronie 41 apel o pomoc Agnieszki Łęgosz pt. „Piszę to, co czuję”. Autorka opisała w nim dramatyczną sytuację materialną, zwłaszcza mieszkaniową, własną i swo-

jej siostry Sylwii ze znacznym skrzywieniem kręgosłupa, uciśniętym płucą.

Siostry mieszkają we wsi Żytniów w Opolskiem w rozpadającym się domku z zaciekałym dachem, bez łazienki, toalety, centralnego ogrzewania, z piecykiem – „kozą”. Łączne dochody siostr 2.284 złote, za które trzeba się wyżywić, kupić kosztowne leki dla chorej Sylwii, środki higieniczne, opłacić m.in. prąd, gaz i wodę. Agnieszka

zbiera jagody, próbuje je sprzedawać. Próbuje też odłożyć – bezskutecznie – na dobudówkę z łazienką dla Sylwii. Myją się w miskach.

Niestety, list nadesłano z błędnym numerem konta. Ponieważ uważamy, że apel o pomoc dla obu pań do ludzi dobrych serc jest w pełni zasadny, podajemy właściwy numer konta: Bank Spółdzielczy w Zawadzkiem, Oddział Radłów, nr Pl. 09-8909-1045-0050-0504-6960-0001. **red.**

Bezpieczniej na drodze

W dniach od 28 do 31 marca na Międzynarodowych Targach Poznańskich odbyły się doroczne Targi Motoryzacyjne Poznań Motor Show 2019, na które licznie przybyli miłośnicy motoryzacji. Przy tej okazji w piątek 29 marca w hali nr 7 odbył się wojewódzki finał konkursu wiedzy o bezpieczeństwie w ruchu drogowym.

Udział w nim wzięli uczniowie szkół specjalnych i uczestnicy ośrodków socjoterapeutycznych z całej Wielkopolski. W ciągu 5 godzin rozwiązywali testy ze znajomości przepisów, znaków i krzyżówek drogowych, pokonywali na rowerach tor przeszkód, prezentowali swoje umiejętności udzielania pierwszej pomocy

poszkodowanemu. Celem konkursu było zwiększenie świadomości i bezpieczeństwa naszych dzieci, które są przecież również uczestnikami ruchu drogowego.

Organizatorami tej niezwykle potrzebnej imprezy i fundatorami nagród byli: dyrekcja MTP, Wydział Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji i Wojewódzki Ośrodek Ruchu Drogowego. Walka była zacięta i motywacja tym większa, że 10 najlepszych drużyn weźmie udział w ogólnopolskim finale konkursu. Zespół Szkół Specjalnych nr 101 w Poznaniu reprezentowali: Mateusz Kuta, Mikołaj Chudy i Gabriela Krzyszkowiak. Opiekunem był Mariusz Mroczkowski. „Stojedynka” zdo-

była piąte miejsce i zakwalifikowała się do finału.

Tak naprawdę wygrali wszyscy uczestnicy. Zwiększenie znajomości zasad obowiązujących na drodze daje szansę na zmniejszenie liczby wypadków i kolizji drogowych z udziałem dzieci i młodzieży. O tym, że umiejętność udzielenia pierwszej pomocy jest niezbędna, nie trzeba przekonywać. Tym bardziej, że w świetle obowiązujących przepisów na każdym z nas spoczywa ten obowiązek. Niestety, wielu uczestników ruchu drogowego nie posiada podstawowej wiedzy i umiejętności w tej dziedzinie.

DARIA KRZYSZKOWIAK

W muzyczną podróż po urokliwych zakątkach kuli ziemskiej zabrali słuchaczy artyści z niepełnosprawnościami ze Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom i Młodzieży Niepełnosprawnej „Przyjacieli” w Obornikach Wielkopolskich. W niedzielne popołudnie 7 kwietnia w sali widowiskowej Obornickiego Ośrodka Kultury odbył się doroczny koncert dla sympatyków i darczyńców tego Stowarzyszenia.

Koncert odbył się dzięki wsparciu finansowemu Samorządu Województwa Wielkopolskiego, Gminy Oborniki oraz Powiatu Obornickiego. Swoje umiejętności wokalne prezentowało kilkunastu podopiecznych Stowarzyszenia, a także osoby pełnosprawne na co dzień im pomagające. Była więc integracja, terapia muzyką i oczywiście znakomita zabawa. Była też aukcja, z której całkowity dochód został przeznaczony na cele statutowe Stowarzyszenia. Dzięki hojności darczyńców osoby z niepełnosprawnościami będą mogły dalej korzystać z zajęć rehabilitacyjnych, wyjazdów, spotkań ze społecznością lokalną czy wycieczek.

Za kwotę 650 złotych zlicytowano spodenki męskie z podpisem Mariusza Wlazłego, polskiego siatkarza, zdobywcy pucharu Polski (spodenki na licytację jako niespodziankę ufundował Bank Spółdzielczy w Obornikach Wlkp.). Na aukcję wystawiono też kilka obrazów – jeden z nich przedstawiał podobiznę Marilyn Monroe. Łącznie podczas licytacji zebrano 3 tysiące 350 złotych.

Członkowie działającego przy Stowarzyszeniu, pod kierownictwem Lecha Farena, zespołu muzycznego „Tacy Sami” osiągnęli znaczne postępy. Nieustająco doskonalił śpiew, uczył się radzić sobie z treścią i stresem. Doroczny koncert zorganizowano po raz osiemnasty.

Tytuł koncertu brzmiał: „Muzyczna autostrada”. Gościem spotkania był między innymi Krzysztof Paszyk, Poseł na Sejm RP, Renata Tomaszewska, przewodnicząca Rady Powiatu Obornickiego oraz Marek Lemański, radny Rady Miejskiej w Obornikach Wlkp.

– Państwa obecność na dzisiejszym koncercie świadczy, że dostrzegacie potrzeby i problemy środowiska osób z niepełnosprawnościami, które wciąż są w społeczeństwie pomijane – powiedziała Aldona Ból, prezes Stowarzyszenia „Przyjacieli”.

Stowarzyszenie działa od 1993 roku, a jego głównym celem jest pomoc dzieciom i



Ogłoszenie wyników konkursu wiedzy o ruchu drogowym. Na scenie laureaci.

FOT. DARIA KRZYSZKOWIAK

OSIEMNASTY KONCERT CHARYTATYWNY STOWARZYSZENIA „PRZYJACIEL”
W OBORNIKACH WIELKOPOLSKICH

Z piosenką przez kulę ziemską

młodzieży z niepełnosprawnościami w zakresie opieki, rehabilitacji i adaptacji społecznej. Stowarzyszenie posiada dwie sale: rehabilitacyjną oraz terapii zajęciowej. Członkowie Stowarzyszenia mogą korzystać z wanny z hydromasażem oraz z masażu nóg w specjalnej wirówce do masażu. Stowarzyszenie „Przyjaciel” promuje uzdolnienia

artystyczne dzieci i młodzieży z niepełnosprawnościami organizując zajęcia muzyczne (w ramach zespołu „Tacy Sami”), koncerty oraz spotkania z interesującymi ludźmi. Odbiorcami działań Stowarzyszenia są dzieci i młodzież z niepełnosprawnościami z powiatu obornickiego oraz ich rodzice.

KAROLINA KASPRZAK



Milena Perlicjan.



Zuzanna Resterny.



Weronika Skrzepka i Szymon Brzeziński.



Prezentacja spodenek z podpisem Mariusza Wlazłego.



Wspólny śpiew.

Wielkanocne ozdoby

Warsztat Terapii Zajęciowej w Dusznikach zaprosił na wielkanocny kiermasz. Podczas tego dwudniowego wydarzenia można było obejrzeć i nabyć produkty powstałe przy udziale osób niepełnosprawnych.

Dzięki pracy podopiecznych Warsztatu powstało m.in. wie-

le wielkanocnych ozdób. Cieszy fakt, że zainteresowanie kiermaszem było spore i wiele produktów trafiło do domów lokalnej społeczności. Środki uzyskane ze sprzedaży przeznaczone zostaną na integrację społeczną uczestników WTZ.

REMIGIUSZ PRZEWOŹNY



Marcin Kupiecki. Po wypadku motocyklowym, od dziesięciu lat na wózku inwalidzkim. Miłośnik starych samochodów, jeździ na treningi koszykówki, zaraża swoim optymizmem i pogodą ducha.

Ośmioro bohaterów łączy Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ w Koninie i coś jeszcze – pomimo niepełnosprawności żyją pełnią życia i pomagają innym. Galerię „Ludzi sukcesu” otwierają Maciej Wiatrowski, Mateusz Traczyk, Przemek Stelmasik, Piotr Darnikowski, Krzysztof Zieliński, Dominik Mosler, Marcin Kupiecki i Daniel Brzeziński. Jeżeli chcesz poznać ich historie, wejdź na www.podajdalej.org.pl/ludzie-sukcesu. (Trzy portrety z Galerii zamieszczamy w tej publikacji – przyp. red.).

„Ludzie sukcesu” przeszli długą drogę i wykonali tytaniczną pracę, by znaleźć się w miejscu, w którym są obecnie. Twierdzą, że są zwykłymi ludźmi, którzy nie robią nic szczególnego. Ich historie mówią jednak coś innego... Mimo ciężkich przeżyć, w wyniku których stracili sprawność pokazują, że wózek inwalidzki, proteza czy kule, to nie koniec świata. Są pewnymi siebie, silnymi i pozytywnymi ludźmi, którzy nie przejmują się niepowodzeniami. Stawiają sobie nowe cele i z uporem do nich dążą.

Wszyscy bohaterowie mają na koncie różne sukcesy. Dla jednych osiągnięciem było samodzielne siadanie, ubranie się, przyjście na trening, czy po prostu wyjście z domu. Profesjonalne wsparcie terapeutów, rehabilitantów, instruktorów, którzy pojawili się w ich życiu po wypadku, pozwoliło im odkryć swoje mocne strony i znaleźć radość życia na nowo.

Teraz sami pomagają innym i robią to na sto procent.

– Staramy się ludzi po wypadkach wyciągnąć z domu, pokazać im, że można być wózkowiczem i jednocześnie osobą niezależną, która nie musi rezygnować z życia – mówi Maciej Wiatrowski, współzałożyciel Fundacji PODAJ DALEJ, któremu udało się połączyć pracę z pasją.

– Na oswojenie z nową sytuacją i nowym życiem trzeba dać człowiekowi od kilku tygodni do kilku miesięcy. Nie wszyscy chcą słuchać i współpracować od razu – dodaje Marcin Kupiecki, który po wypadku motocyklowym pozbiierał się dość szybko. Jest w trakcie planowania ślubu i wesela. Jego pasją jest wskrzeszanie starych aut i udział w rajdach ZŁOMBOL.

– Zdarza się, że w gorszym stanie psychicznym od osoby poszkodowanej jest jego rodzina. Ich negatywne nastawienie może utrudniać pracę z niepełnosprawnym. Wtedy to właśnie krewnym należy wytłumaczyć, że niektóre rzeczy zajmą teraz więcej czasu, trzeba będzie wcześniej wstać, ale wszystko jest do zrobienia – wyjaśnia Krzysztof Zieliński, który jako jedyny z tej ósemki „Ludzi sukcesu” jest niepełnosprawny od urodzenia. Jego najważniejszym sukcesem jest żona i 2-letni synek.

– Na pierwszy rzut oka może się niekiedy wydawać, że osoba, która w wyniku wypadku straciła sprawność dobrze funkcjonuje. Często to ukrywa. Psychika ma wielki wpływ na

NIEPEŁNOSPRAWNOŚĆ NIE JEST PRZESZKODĄ W SPEŁNIANIU MARZEŃ

Żyją pełnią życia i pomagają innym



Krzysztof Zieliński. Od urodzenia towarzyszy mu spastyczne porażenie kończyn dolnych. Koszykarz na wózku, pomaga odnaleźć się w życiu osobom po wypadkach.

leczenie, dlatego trzeba trzymać rękę na pulsie i pilnować, by wszystko szło w dobrym kierunku. Wsparcie bliskich ma ogromne znaczenie – podkreśla Daniel Brzeziński, który w wieku 16-lat przeszedł amputację nogi. Właśnie uczy się chodzenia na nowej protezie, dzięki której będzie mógł biegać, a nawet nurkować.

Niektórych długo trzeba było namawiać do skorzystania z pomocy.

– Cztery lata namawiali mnie, bym zajął się czymś, przyszedł na treningi koszykówki. Teraz nie wyobrażam sobie życia bez tych ludzi. Gdy jadę komuś pomagać, od razu namawiam go do pracy, zajęć, by nie tracił czasu, tak jak ja – opowiada Przemysław Stelmasik, który od 12 lat porusza się na wózku inwalidzkim. Jeździ samochodem, jest samodzielny i cieszy się, gdy uda mu się namówić na wyjście z domu osobę, która 10 lat nie była na dworze.

Wśród tej wspaniałej ósemki są też tacy, którzy niepełnosprawność przekuli w ogromny sukces zawodowy.

– Od 10 lat gram w ligach zagranicznych jako koszykarz na wózku, a obecnie mam podpisany kontrakt z ligą włoską. W Fundacji PODAJ DALEJ pracuję jako instruktor niezależnego

życia. Prowadzę też zajęcia promujące bezpieczeństwo dla dzieci i młodzieży. Jeżdżę na treningi koszykarskie dla dzieci niepełnosprawnych organizowane przez Marcina Gortata. Od rana do wieczora jestem na pełnych obrotach. Czerpię z życia pełnymi garściami i nie tracę czasu na marudzenie – mówi Dominik Mosler.

Ogromnie zajęty jest także Piotr Darnikowski, który stracił sprawność w wyniku wypadku motocyklowego. W 2012 roku wziął udział w Paraolimpiadzie w Londynie jako reprezentant Polski w koszykówce na wózkach. Właśnie przygotowuje się do kolejnych igrzysk.

– Nigdy nie przypuszczałem, że po tym, co się stało, znajdę się w takim miejscu. Nie zrażałem się niepowodzeniami. Nie raz spadłem z wózka, łózka i nabiłem sobie siniaki. To najlepszy sposób, by nauczyć się samodzielności. Nie wszystko przychodzi od razu. To wymaga pracy, ale nie należy rzucić się na głęboką wodę. Trzeba kierować się tylko zasadą małych kroków. To próbuję przekazać tym, którym dziś pomagam – wyjaśnia Piotr.

– Pod stałą opieką Fundacji PODAJ DALEJ jest blisko 200 osób z niepełnosprawnością. Każdego dnia wspieramy ich w

trudnej drodze do niezależnego życia, w drodze do ich osobistych sukcesów! Sukces dla każdego oznacza coś innego, bo każdy jest inny, ma własne plany, marzenia i własną przeszłość... Dla jednego sukcesem będzie podjęcie pracy i bycie niezależnym, dla innego występ przed publicznością, samodzielne zrobienie zakupów, czy po prostu wyjście z domu. Niezwykle ważny jest udział naszych „Ludzi sukcesu” w życiu Fundacji. Kiedyś otrzymali pomoc w trudnych momen-

tach, a teraz PODAJĄ DALEJ wspierając kolejnych potrzebujących. To fantastyczni ludzie – trenerzy niezależnego życia, zawodnicy, pracownicy, kierowcy, ojcowie. W każdej roli, każdego dnia odnoszą sukcesy! – podkreśla Zuzanna Janaszek – Maciaszek, prezes Fundacji PODAJ DALEJ. - Przybliżamy ich sylwetki, aby pokazać, że niepełnosprawność nie jest przeszkodą w spełnianiu marzeń i sięganiu po więcej!

PAULINA KAŁUŻNA



Przemysław Stelmasik. Od dwunastu lat na wózku inwalidzkim.

Jako pasażer doznał w wypadku samochodowym złamania kręgosłupa w odcinku szyjnym. Auto prowadził 18-letni kierowca pod wpływem alkoholu. Dzisiaj Stelmasik uczy innych, jak poruszać się na wózku i wracać do normalnego życia.

Świątecznie i wiosennie

17 kwietnia świątecznie zastawiony stół zgromadził całą społeczność Warsztatu Terapii Zajęciowej w Dusznikach.

W uroczystym wielkanocnym śniadaniu uczestniczyli także: Karolina Leszczak, kierownik Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Dusznikach, Krystyna Rutkowska, prezes Stowarzyszenia na rzecz Dzieci i Młodzieży Niepełnosprawnej „Duszek”,

Roman Boguś, wójt Gminy Duszniki, Radosław Łanoszka, przewodniczący Rady Powiatu Szamotulskiego i Ryszard Pacholak, przewodniczący Rady Gminy Duszniki. Gości powitała Iwona Kaczmarek – kierownik WTZ, a śniadanie poprowadzona przez Magdalenę Król, jedną z uczestniczek. Spotkanie upłynęło w wiosennym, świątecznym nastroju.

REMIGIUSZ PRZEWOŹNY



FOT. (2X) REMIGIUSZ PRZEWOŹNY

W szkołach podstawowych, liceach, technicach i innych placówkach oświaty jest zazwyczaj tak, że osoby z niepełnosprawnością otrzymują zwolnienia z lekcji wychowania fizycznego. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać uzasadnione, a dla samej osoby niepełnosprawnej wygodne. Nie musi chodzić na zajęcia. Jest kilka godzin wolnego, nie trzeba nosić stroju, ćwiczyć, biegać, potem szybko się przebierać i biegiem na kolejną lekcję.

Z własnego doświadczenia wiem, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Rzecz w tym, że uczeń z niepełnosprawnością zostaje sam w szkole, zwłaszcza jeżeli klasa ma lekcję wf pośrodku innych zajęć. Samotnie chodzi po szkole albo siedzi sam w ławce. Jeżeli w szkole jest biblioteka, to jego sytuacja nie jest jeszcze zła. Może spokojnie przygotować się do zajęć lub odrobić zadanie domowe. Ja chodziłem do szkoły podstawowej i gimnazjum, w której nie było szkolnej biblioteki. Gdy klasa była na lekcji wf, ja przebywałem w pomieszczeniu u pani sprzątaczk.

Prowadzenie samochodu może być ważną umiejętnością w szczególności dla osób, które mają problemy z poruszaniem się. Autem mogą wygodnie podjechać na przykład po zakupy czy też do urzędów. Nie trzeba dużo chodzić na przykład na przystanki autobusowe, pokonywać schody do pojazdu, zwłaszcza gdy nie jest on dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnością ruchową. Ale z drugiej strony prowadzenie samochodu to również duża odpowiedzialność za siebie i pasażerów oraz innych użytkowników drogi.

Dlatego osoby niepełnosprawne muszą pokonać dużo barier, by zdobyć prawo jazdy i stać się pełnoprawnymi użytkownikami dróg. Przede wszystkim muszą wybrać się na badania lekarskie. Lekarz musi wydać zgodę na przystąpienie do kursu na prawo jazdy. Wszystko zależy od stopnia niepełnosprawności i schorzenia oraz od samego lekarza. W razie spowodowania wypadku odpowiada nie lekarz, ale kierowca. Każdy więc musi poznać i ocenić sam swoje możliwości i umiejętności – i w

Sytuacja taka jest paradoksalna: z jednej strony osoba z niepełnosprawnością jest zwalniana z wf ze względu na swoją niepełnosprawność, a z drugiej – ta osoba zaraz po wyjściu ze szkoły w większości przypadków jedzie na rehabilitację, aby poprawiać stan zdrowia i coraz lepiej funkcjonować. Moja mama, gdy chodziłem do szkoły podstawowej i gimnazjum, po lekcjach zawoziła mnie rowerem właśnie na rehabilitację. Może więc warto pomyśleć, aby osoba z niepełnosprawnością także mogła brać czynny udział w lekcjach wf. Dla niej takie zajęcia miałyby wtedy nawet większą wartość, niż dla pozostałych uczniów. Można by ją nazwać lekcją rehabilitacyjną. A po szkolnych zajęciach uczeń z niepełnosprawnością mógłby, wolny od rehabilitacji, czas przeznaczyć na coś innego, na przykład na staranne opanowanie materiału szkolnego i wypoczynek. Ale zajęcia należałoby dopasować do możliwości i potrzeb ucznia. Wiadomo, na przykład uczeń z niepełnosprawnością ruchową nie jest w stanie grać w koszykówkę czy w piłkę nożną z uczniami sprawnymi.

przypadku zgody lekarza także sam powinien podjąć decyzję.

W maju 2005 roku rozpocząłem kurs na prawo jazdy. Byłem właśnie tuż po zdanym egzaminie maturalnym. Lekarz badał mnie osobliwie. Musiałem stanąć na jednej nodze, następnie zamknąć oczy i palcem dotknąć czubka nosa. Po czym wydał zgodę na rozpoczęcie kursu nauki jazdy samochodem kategorii B.

Prawo jazdy zdawałem na samochodzie normalnym; nie musiałem mieć pojazdu przystosowanego do potrzeb osób niepełnosprawnych. Na egzaminie praktycznym na placu manewrowym obowiązywały wszystkie zadania: jazda po łuku, wjazd i wyjazd z garażu, jazda tyłem, ruszanie pod górkę, zatoczek. Egzamin praktyczny zdałem za trzecim razem. Najgorszy wówczas był dla mnie plac manewrowy, gdyż miałem dosyć impulsywnego instruktora jazdy. Ale udało mi się przez to przebrnąć.

Zaliczony egzamin praktyczny to jedno, a jazda – to drugie. Po otrzymaniu prawa jazdy bardzo się bałem samo-

Niepełnosprawny może zwyciężać

Byłoby najlepiej, gdyby uczeń mógł brać czynny udział w zajęciach wychowania fizycznego na równi i ze swoimi

kolegami z klasy. Takie zajęcia odbywałyby się na basenie. W wodzie każdy jest równy. Pływanie jest dobre na wszyst-

ko, pracują nogi, ręce, całe ciało. Młodzi ludzie obecnie prowadzą siedzący tryb życia, co skutkuje skrzywieniem kręgosłupa i innymi dolegliwościami, na które basen jest idealnym lekarstwem. Moja edukacja przypadła na początek lat 90. Wtedy w mojej gminie Strzeleczy w województwie opolskim nie było mowy o zajęciach szkolnych na basenie. Do najbliższego basenu było 35 km w jedną stronę. Obecnie staram się przynajmniej raz w tygodniu być na basenie. Bardzo mi to pomaga w moim funkcjonowaniu.

Jeżeli szkoła nie ma możliwości pojechać na basen w ramach zajęć, to warto zaangażować ucznia z ograniczeniami fizycznymi do ćwiczeń przy drabinkach, na rowerku

stacjonarnym, z wałkiem, przysiadów i wielu innych. Ale często nauczyciel czy dyrekcja szkoły podchodzą do tego bardzo ostrożnie. Każdy się boi, że coś może się stać. A wiadomo, nikt nie chce brać odpowiedzialności za ewentualny wypadek. Myślę jednak, że mimo wszystko pełne bezpieczeństwo może być zapewnione.

I trzeba też wziąć pod uwagę rzecz może najważniejszą: że uczeń uczestniczący w szkolnych zajęciach sportowych nie czuje się samotny i gorszy od reszty. Mimo swoich defektów może brać udział na przykład w zawodach szkolnych w pływaniu i w tej konkurencji zwyciężać.

KRYSTIAN CHOLEWA
SICÓW



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Bez samochodu jak bez ręki

dzielnie prowadzić samochód. Z pomocą rodziców powolutku zacząłem wyjeżdżać tylko na krótkie trasy. Ale z czasem zacząłem jeździć coraz dalej, także do miasta i po mieście. Mieszkam na wsi, gdzie człowiek bez samochodu bywa jak bez ręki – że wyrażę to znany powiedzeniem. Gdy niedawno złamałem właśnie rękę i byłem niejako bez niej, to po prostu nie mogłem prowadzić samochodu. Za każdym więc razem, gdy musiałem gdzieś pojechać, prosiłem o pomoc rodzinę lub przyjaciół. Takie rozwiązanie na dłuższą metę nie wchodzi w grę. Każdy przecież ma swoje sprawy, którymi musi się zająć.

Prowadzenie samochodu daje pewną niezależność i pod-

wyższa samoocenę. Czujemy się bardziej wartościowi. Posiadanie prawa jazdy zwiększa możliwości znalezienia pracy, ułatwia spotkania z przyjaciółmi, pozwala na wyjazdy na wycieczki czy do dalszej rodziny. Prowadzenie samochodu korzystnie wpływa na naszą psychikę i zdolność do koncentracji. Prowadząc samochód musimy być skupieni, uważni i nie możemy myśleć za dużo o swoim schorzeniu.

Radzę osobom z niepełnosprawnością: jeżeli wasz stan zdrowia pozwala, to zapiszcie się na kurs prawa jazdy. Wiadomo, początki zawsze bywają trudne. Ale powolutku małymi krokami zaczniecie prowadzić samochód. Jeżeli ktoś ma nie-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

dowład nóg, może mieć dostosowany samochód. Na ten cel są środki z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych na kurs prawa jazdy dla osób z orzeczeniem o niepełnosprawności czy na dostosowanie samochodu do

waszych potrzeb. Ponadto przybiera miejsc parkingowych dla osób z niepełnosprawnością, które powstają z myślą o nas. Wiec tym bardziej warto mieć prawo jazdy.

KRYSTIAN CHOLEWA



A.M. Krystosik
Gromadzińska
SZCZECIN

27.3.2019 PODRÓŻOWANIE, WRACANIE, INNE PODRÓŻOWANIE

Stoję na dworcu warszawskim i czekam na pociąg, który zawiezie mnie do domu. Jestem trochę wcześniej. Z mojego peronu odjeżdża jeszcze kilka innych. Pierwszy do Krakowa. Wystarczyłoby wsiąść i za kilka godzin znalazłabym się w pięknym mieście. Mam w nim swoje ulubione ulice, muzea i obrazy, które kiedyś odwiedzałam regularnie, w każde wakacje. „Czwórka” koni Chelmońskiego, pędząca po ugorze, magiczna w swojej dynamice, jest jednym z nich, Katedra wawelska z czarnym Chrystusem, o którym opowiadała mi jeszcze babcia, zawsze zachwyca, podobnie jak kościół Mariacki z rozświetlonym gwiazdami sklepieniem, w którym jakoś bliżej do Nieba... może przez to wymalowane nad głowami.

Potem pociąg do Wiednia. Nigdy nie byłam w tym mieście. Znam je tylko z filmów, opowiadań i książek. Masa ludzi wsiada do kilku wagonów. Wyobrażam sobie, że wieczorem zjedzą kolację w swoich eleganckich wiedeńskich domach.

Czekam cierpliwie na pociąg do Szczecina. W zasadzie co 5, 10 minut odjeżdża jakiś inny. W tyle różnych miejsc mogłabym pojechać. Nie mam jutro zajęć na uczelni. Pieniądzy na bilet pewnie starczyłoby mi nawet do Wiednia. Stoję i dziwię się, że świat mnie wciąż fascynuje, ale już nie ciągnie tak jak kiedyś. Czy już nie jestem „powsinogą”?

Nie wiem, czy wynika to z poczucia obowiązku, które każe mi wracać do domu? Może z wygodnictwa? A może z wieku? Dlaczego wsiadam do pociągu do Szczecina, by wieczorem być domu, a nie jadę do Wiednia?

Wciąż mam ochotę poznać nowe miejsca i odwiedzać te lubiane. Ale nie w pojedynkę. Bo z kim się dzielić radością z odkrycia czegoś niezwykłego, pięknego, gdy nikogo nie ma u boku? Z kim wieczorem przypominać sobie piękny dzień? Z kim planować kolejne wyciecz-

ki? Radość dzielona jest radośniejsza i większa, a troski podróżu się kurczą.

Mam wybór i wybieram. Nic nie muszę, mogę. Wspomniałam uczucie. Pewnie gdybym powiedziała mężowi, że chcę wyjechać na kilka dni, by na przykład odpocząć, trochę by się zdziwił, ale zrozumiałby i zaakceptował. Ale nie czuję takiej potrzeby. Mam w sobie niezwykły spokój. Mogę zamknąć oczy i z radością pomyśleć, że miło będzie wieczorem utulić Pawełka i wtulić się w męża. Pawełek przez sen zarzucił mi na szyję rączki i przyciągnie do siebie, jak to robi zwykle, gdy późno wracam do domu. Dla takich chwil warto popracować dłużej. Czasem wyszepcze jeszcze, że mnie kocha. Żaden, nawet najpiękniejszy widok, najsmaczniejsza potrawa w najwykwintniejszej restauracji na dachu świata, nie jest w stanie przebić tych kilku sekund. A potem mąż zagarnie ramieniem, mrużąc coś przez sen. Zасыpiam w poczuciu spełnienia, bezpieczeństwa i wypełniona pokojem od pięt po czubek głowy. Nocne powroty do domu dają ogromną radość i dodają skrzydeł. Jest się niewyspanym? Nic to. Poranki są też super. Pawełek opowiada i opowiada o tym co mu się przydarzyło. Musi, zanim pójdzie do szkoły, poruszyć milion tematów. Jacek próbuje się przebić ze swoimi radościami i smutkami. Moje kochane chłopaki. Wracam do domu. Nieważne, gdzie on jest. Wracam do Was.

Czasami mi tylko smutno, że Pawełek przez swoją chorobę takiej wolności nigdy mieć nie będzie. Nie może spakować plecaka i „ściskając w rękę kamyk zielony, patrzeć jak wszystko zostaje w tyle”. Musi pamiętać o lekach, musi zabrać cykler, worki. Coś mnie ściska za serce. Ja nigdy nie bałam się świata. Wędrowałam po górach, zwiedzałam różne miasta, sama i z koleżankami. Teraz też pracuję w kilku miastach. Lecę, jadę gdy trzeba. Sama sobie szukam takiej pracy. Jedyne, co mnie obecnie ogranicza, to bliskość Warszawy. Najchętniej więc przyjmuję propozycję ze stolicy, by w razie czego być na miejscu.

A Pawełek? Czy poczuje kiedyś radość z tego, że będzie mógł wsiąść do samolotu, by w Paryżu zjeść kolację? Czy będzie mógł zostać w górach, gdy mu się gdzieś bardzo spodoba? I nie myślę teraz o pieniądzach. Myślę o wolności człowieka zdrowego, który prawie nic nie potrzebuje, by podróżować. Który może wstać z kanapy i wyruszyć, gdzie chce.

Podróże mnie ukształtowały. Niejednokrotnie przekonałam się, że można bardzo dużo za bardzo niewiele. Że najbardziej cieszy to, co nic nie kosztuje. Poznawałam ludzi, ich poglądy i przyzwyczajenia. Chłonełam niezwykłość świata z wielką ciekawością i ufnością w dobro, które jest w każdym z nas. Dzięki podróżom nie mam problemu, by z takim samym szcunkiem patrzeć na biednych i bogatych, zdrowych i chorych, na młodych i starszych. Kolor skóry nie jest dla mnie wyznacznikiem czegokolwiek, podobnie jak wyznawana religia i tradycje. Nieraz zainteresowanie i pomoc otrzymałam od kogoś z tak zwanego innego kręgu kulturowego, kogoś mówiącego w obcym języku, a nie od krajana, co mogłoby wydawać się oczywiste. Mam w sobie przekonanie, że każdy z nas ma swoje zadanie do wypełnienia, bez względu na wszystko, a tak zwana inność jest największym bogactwem jakie posiadamy.

Wierzę w ludzi. Bardzo. Może za bardzo. I martwię się czy Paweł też tak będzie umiał. Chciałabym. Żeby mieć w sobie takie przekonanie, trzeba spotkać bardzo wielu ludzi, słuchać ich opowieści, razem pracować i odpoczywać. Trzeba podróżować. Trzeba przegadać wiele nocy, najlepiej przy ognisku, które ma w sobie magiczną moc. Paweł nie ma wielu takich okazji. Krąg ludzi, którzy go otaczają jest bardzo mały. Boję się, czy nie za mały? Smutno mi, że nie może spędzić nocy pod rozgwieżdżonym niebem.

Może jednak moje obawy i smutki nie przystają do rzeczywistości. Pomimo faktu, że krąg osób Pawła otaczających nie jest duży, to przecież ma swój świat. Dzieli się nim od czasu do czasu ze mną.

Ma ulubionych blogerów Pawła i Karolka. Są jeszcze inni. Opowiadają głównie o grach, ale też o ciekawostkach dotyczących świata, robią eksperymenty. Muszę przyznać, że w bardzo profesjonalny sposób, z wykorzystaniem odczynników chemicznych, w laboratoriach i na poligonach doświadczalnych. Jak mój Paweł ich znalazł? Nie wiem. Czy usłyszał o nich w szkole? Nie wiem. W pewnym stopniu jestem z niego dumna, bo wybrał takich, którzy nie posługują się wulgaryzmami, nie opowiadają głupot, nie robią z siebie gwiazdy, a autentycznie się czymś fascynują.

Może to jest jakiś substytut moich podróży? Nie jestem do końca przekonana, ale dobrze, że znalazł sobie Paweł swoje okno na świat. Może trochę wąskie, ale ma swoje własne. A może jego okno jest szersze niż moje... nie wiem. Przyszłość pokaże.

9.4.2019 NIE PRZYTULAJ MNIE, BO MI ŚWIECZKI ROSNA W OCZACH

Mija właśnie rok, od kiedy Paweł stracił nerkę przeszczepioną. Tyle czasu mieliśmy czekać, by powrócić do rozmowy o kolejnym przeszczepie rodzinnym. Rok temu poziom przeciwciał był zbyt wysoki, by podjąć ryzyko. Miał spaść...

O tym, że oddam Pawłowi nerkę, myślałam, od kiedy się urodziłam. Miałam plan na życie swoje i życie syna. Czułam, że w jakimś stopniu panuję nad Pawłem chorobą. Nie bałam się jej. Wydawało mi się, że mam lekarstwo i jeżeli będzie konieczność, to po nie sięgnę. Zuchwało mi się, że mam władzę. Byłam z zamiarem dawstwa tak zżyta, że nie rozważałam w ogóle innych scenariuszy.

Rok temu bardzo przeżyłam decyzję, że na razie przeszczep nie jest możliwy. Kurczowo trzymałam się jednak myśli, że po odstawieniu immunosupresji Pawła układ immunologiczny uspokoi się, a poziom przeciwciał spadnie do bezpiecznej dla przeszczepu granicy. Wierzyłam w to ze wszystkich sił.

Jeden telefon zmienił w ciągu kilku minut wszystko, dosłownie wszystko. Zapadła decyzja, że przeszczep rodzinny jest jednak niemożliwy. Pomimo upływu czasu nic się na lepsze nie zmieniło, żeby nie powiedzieć – na gorsze. Telefon zaskoczył mnie podczas prowadzenia zajęć. Wysłałam na korytarz. Za każdym razem gdy wyświetla się numer kierunkowy warszawski, to serce gwałtownie przyspiesza. Tym razem, po usłyszeniu decyzji, chyba zwolniło. Nogi się pode mną ugięły i poczułam, jakby zawałiła się na mnie ściana, a może nawet cała kamienica. Łzy same popłynęły. Łzy smutku, niedowierzania, buntu, złości....

Nawiązując do słów wiersza Agnieszki Osieckiej, który w niezapomniany sposób zaśpiewała Krystyna Janda:

A ja jestem,
proszę pana,
na zakręcie.
Moje prawo
to jest pańskie lewo.
Pan widzi:
krzesło, ławkę, stół,
a ja – rozdarte drzewo.

„A ja jestem, proszę pana, na zakręcie”...i wypadłam nagle z drogi. Tyle lat starałam się jakoś balansować, pomimo mijających wielu „rozdartych drzew”. A teraz ktoś mi wyrwał kierownicę z rąk. Straciłam panowanie nad samochodem. I poczułam strach. Nigdy wcześniej nie przestraszyłam się tak bardzo Pawła choroby. Nie mogę już nic zrobić sama z siebie. Jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę losu. Czekać możemy na nerkę z nieba, na postęp medycyny... Zaczęłam się bać.

Z trudem i kubkiem gorącej, czarnej jak heban herbaty, wróciłam za zajęcia. Dzięki w tym miejscu pani Basi, bo herbata mnie uratowała, a piękna filiżanka kazała na siebie patrzeć, zamiast wodzić nieprzytomnie mglistym wzrokiem. I dziękuję studentom, bo sami zaczęli prezentację, gdy się spóźniałam z powrotem do nich. Młodzi ludzie są empatyczni i porządni, i pewnie dlatego wciąż pracują na uczelni. A więc herbata od pani Basi, studenci i praca mnie uratowały. Byłam na skraju załamania. Gdy po tylu latach czekania na lepsze jutro, które ma uratować własne dziecko, definitywnie traci się grunt pod nogami, to trzeba mieć dużo szczęścia,

by akurat w tej chwili mieć wokół dobrych ludzi i obowiązek do wypełnienia.

Oczywiście, potem musiałam się „poskładać” przed powrotem do domu. Ale najgorszy cios został już opanowany. Nie minął smutek, poczucie straty, strach, wciąż tliły się w sercu, ale nieco już przytłumione.

Kolejne kroki trzeba było wykonać w domu. Wzięłam Pawła na kolana. Powiedziałam, że doktor zdecydował, że nie mogę oddać mu swojej nerki. Paweł się mocno wtulił, bardzo, bardzo mocno. Zaczął mnie gładzić do włosów. Powiedział, że przecież to znaczy, że nie będę musiała mieć operacji. Ścisnęło mi gardło, serce, brzuch i płuca. Fizycznie bolał mnie smutek, żal i bezsilność. I tak siedzieliśmy razem z Pawłem w milczeniu. Potem przyszedł Jacek. Nie mówił nic, tylko przytulił.

– Nie przytulaj, bo mi rosną świeczki w oczach – tylko tyle mogłam już powiedzieć. Już nic więcej nie dałam rady. Nie miałam już siły.

Padliśmy zmęczeni. Zasnęliśmy, tej nocy nie budzeni przez alarmy cyklera. Przecież życie się nie zatrzymało. Nie będzie czekać, aż pogodzimy się z nową rzeczywistością. Od 8 rano zajęcia ze studentami. I znów odwołam się do znanego, już przez mnie przywoływanego utworu zespołu Queen:

The show must go on
The show must go on
Yeah
Inside my heart
is breaking
My make-up
may be flaking
But my smile
still stays on

Tak właśnie jest. Trzeba być od rana gotowym, z uśmiechem na twarzy, by znów stać na scenie i grać swoją rolę.

Koło południa miałam lot do Warszawy. Do drugiej pracy. Zamiast małego Bombardiera przyleciał większy Boeing. Trzeba było na niego co prawda poczekać, ale tak to już bywa na lotniskach. Miałam trochę czasu, by przyjrzeć się temu, co się wciąż we mnie kotłowało. Niepokoilo mnie jedno: strach. Nie można żyć ze strachem. Próbowалаm racjonalnie sobie wszystko wytłumaczyć. Przecież przeszczep zakończyłby się odrzutem. Paweł

znów spędziłby więcej czasu w szpitalu niż w domu. Musiałby przyjmować duże dawki sterydów. Cały czas musielibyśmy walczyć, skazani i tak na przegraną. Po miesiącu, po dwóch, może po roku. No i szkoda nerki... Racjonalnie wszystko rozumiałam, ale... niepokój i strach wciąż chciały przejąć władzę.

Przełomowy okazał się moment startu i to, co się wydarzyło chwilę po nim. Boeing rozpedził się dłuższą chwilę. Zaczęło „wciskać” już w fotele. Lubię ten moment gdy wszystko się w człowieku spina, jakby sam sztywniał się do skoku, potem wznoszenie i...nagle wszystko odpuszcza. I w tej właśnie chwili znaleźliśmy się ponad pułapem chmur. Poczułam ulgę. Pięknie zaświeciło słońce.

Popatrzyłam na te chmury i pomyślałam, że przecież mam wciąż zadanie do wykonania. Że oddanie nerki, które było dotychczas moim życiowym celem nr 1, nie jest jedynym. Paweł przecież potrzebuje mnie całej, a nie tylko organu. Rzecz niby oczywista, ale dla mnie była odkryciem. Otworzyły mi się szerzej oczy, a żołądek się rozkurczył. Poczułam się znów wolna. Zniknęły nitki dróg, zielone poletka, zniknęło z nimi poczucie klęski. Zostały tylko białe chmury, błękitne niebo... i skrzydło samolotu. Tro-

chę psuło widok, ale przecież jakoś samolot musi latać.

Czy musiałam się wzniesić tak wysoko, oderwać się od ziemi, by zrozumieć wszystko na nowo, by uwolnić się od strachu i zobaczyć, że co prawda przegraliśmy w jakimś sensie bitwę, ale wojna wciąż trwa? Bo, znów przywołując słowa piosenki z tekstem Jacka Janczarskiego, znanej chyba wszystkim z serialu „Zmiennicy”, a wykonywanej przez Przemysława Gintrowskiego:

Serpentyny i pobocza
wyczuwamy.
Raz na ziemi,
raz pod ziemią
drogi kręte.
„Radio Taxi,
proszę czekać...”
– zaczekamy,
coś być musi,
coś być musi,
do cholery, za zakrętem.

Może zbyt długo trwałam w tym zakręcie. Zapomniałam, że droga prowadzi dalej. Wypadłam co prawda na pobocze, ale przecież można wrócić. Może muszę zmienić auto na inne, ale mogę wciąż jechać dalej.

– Wsiadajcie więc. Jedziemy! Coś tam przecież musi być, za tym zakrętem...

cdn.



FOT. KAROLINA KASPRZAK

Któregoś dnia w połowie listopada 1944 roku ojciec zakomunikował mi, że zostałem wytypowany przez komendę do akcji specjalnej. Miałem zatem wyszerować o godzinie 20 bez żadnego dokumentu, broni i amunicji. Ojciec poinformował mnie, gdzie jest zbiórka, jakie jest hasło i odzew.

Późnym wieczorem dobrałem do polnej stodoły, położonej na wschód od Kupientyna. Zbliżając się do niej i słysząc gwar dochodzący z jej wnętrza, rzuciłem półgłosem hasło „Warszawa”. Odzew się zgadzał, więc wszedłem do stodoły. Z kilkunastoosobowej grupy młodych ludzi nikogo nie znałem. Widać było z innych kompanii. Po zapadnięciu zmroku dowódca grupy przedstawił nam zadanie do wykonania i wydał broń. Mielśmy odbić aresztowanych przez sowieńskich oficerów AK. Dostałem bardzo zużytego stena z zamontowanym magazynkiem i jeden magazynek zapasowy.

Późnym wieczorem ruszyliśmy na wschód w stronę Sokołowa. Po kilkunastu krokach zorientowałem się, że z trzymanego na lewym ramieniu stena wypadł magazynek. Zameldowałem o tym dowódcy grupy i prosiłem, aby mi pozwolił wyjść z szeregu i przeszukać przebyty odcinek. Ale magazynka nie znalazłem. Po kilkunastu minutach dostrzegłem do rzadkich zabudowań ciągnących się od lasu do okolic rynku i kościoła przy wylocie szosy na Kupientyn. Była ciżba. Tylko gdzieś tam odzywało się szczerkanie psów. Gdy doszliśmy do skrzyżowania, z lewej strony wybuchła kanonada. Poleciały ku nam salwy z karabinów maszynowych. Byliśmy całkowicie zaskoczeni. Nie dotarła do nas informacja, że późno wieczorem na rynku ustawiły się trzy czolgi radzieckie. Ich dowódca zdecydował, że właśnie tutaj urządzi nocny postój w drodze na północ.

Wciąż ostrzeliwani, zrobiliśmy skok przez ulicę i dopadliśmy murowanego ogrodzenia kościoła. Przeskakując przez mur, przez moment zawisłem na jego szczycie. Poczulem silne uderzenie w wystające biodro, więc pomyślałem, że to wreszcie szlachetna blizna. Nie wyczułem ani żadnego bólu, ani lepkości krwi, a tylko poszarpaną,

zewnątrzną kieszeń samodzielną kurtki. Widać seria z karabinu maszynowego poszła nieco za wysoko. Zerwałem się i zgodnie z instrukcją przebiegłem przez ulicę i wpadłem na szerokie ścierńsko, całkowicie oświetlone rakietami. Rzadkie postacie wycofujących się kolegów widać było jak na dłoni. Byle na kraniec pola, do chaty w pół zakrytej niskimi drzewami lasu.

Tam była zbiórka, zdanie broni i rozproszenie się oddziału. Zdałem stena, wyjaśniając brak jednego magazynku. Ublagałem dowódcę i gospodarza domu o zgodę na odpoczynek tutaj – do brzosku. Gdy tylko na wschodzie ukazała się bladnoróżowa zorza, ruszyłem w kierunku Kupientyna, trzymając się z dala od szosy. W odpowiednim miejscu i odpowiedniej chwili przeskoczyłem drogę i po kilkunastu minutach odnalazłem stodołę. Idąc od niej, przeskakałem polną drogę krok po kroku do miejsca, gdzie zameldowałem dowódcy o zaginięciu magazynka. Zguby nie znalazłem. Znacznie później dowiedziałem się, że magazynek podniósł żołnierz idący za mną (świnia!).

Gdy wychodziłem z lasu, miałem siedemnaście lat. Byłem pełen wrażeń i satysfakcji, że ziszczyły się moje marzenia hołubione od lat dziecięcych, kiedy kręciłem się po koszarach szkoły podoficerskiej piechoty nr 2 w Śremie. Przesiadywałem też z siostrami na strzelnicy w Zbrudzewie, którą nadzorował mój ojciec. Kilka miesięcy później pchałem lub ciągnąłem rower w brykach śniegu. Szosa z Sabni do Sterdyni była nieprzyjemnie pusta i hulała po niej wiatr. W dali ukazała się jednokonna podlaska furmanka. Kiedy zrównałem się z mężczyzną idącym obok niej, poznałem go. Porucznik saperów „Granit” zatrzymał furmankę i rzucił półgłosem w moją stronę:

– To ty, Jaworek? Kiedyś miałem ochotę rozwalić cię za niesubordynację.

– Ja, panie poruczniku.

– Rzadko się zdarza, aby dowódca przeproszał podkomendnego. Ale to jednak była moja pomyłka... Pamiętaj, Jaworek, żeśmy się nigdy nie widzieli.

Z zachodu nadciągały wiadomości o stałym parciu sowieńców na Berlin. Podobno Poznań był już w ich rękach. Nasza rodzina, jak i wielu innych poznaniaków, przygotowywała się więc do powrotu. W placówce AK w Grodzisku zdałem granaty, amunicję i mój ukochany karabin. Nie mogłem się oprzeć, idąc niskim brzegiem strugi, aby nie wystrzelić kilkakrotnie. Wiem, że nie było to do wodom dojrzałości konspiracyjnej...

Po pięciu dniach jazdy, zahaczając o różne wojskowe transporty, głodni i przemarznięci dobrnęliśmy do Wrzeszyna. Stamtąd lokalnymi już składami PKP dotarliśmy do Zaniemyśla. Wreszcie ukazał się nam Śrem. Byliśmy jedynymi z pierwszych wysiedleńców, którzy wrócili. I, wydaje się, pierwszymi AK-owcami. Ciocia Zula na razie oddała nam swoje mieszkanie przy ulicy księdza Wawrzyniaka.

Podczas wysiedlenia przeżywalimy okresy wręcz głodowe. Przyzwyczailiśmy więc nasze żołądki do takiego stanu rzeczy. Wydawało nam się zatem, że po wojnie, gdy oboje rodzice znów będą pracować, na jedzeniu zdołamy zaszczyć masę pieniędzy. Niestety, wolność przyniosła nam wielką biedę trwającą nawet wówczas, gdy ojciec został pracownikiem starostwa – referendarzem karno-administracyjnym.

W kwietniu 1945 roku setki młodych zasiadło w ławkach gimnazjum i liceum im. Gen. Józefa Wybickiego w Śremie. W pierwszej klasie gimnazjalnej znalazło się ponad czterdzieści dziewcząt i chłopaków. Siadałem tak, aby móc obserwować Bożenkę. Była jak zawsze uczennicą bardzo zdyscyplinowaną, zdolną i pilną. A do tego do dała jeszcze wdzięk osiem-

nastoletniej panny. Natomiast ja nie należałem do pilnych uczniów. Wyjątkiem był język polski, którym mogłem zaimponować Bożence.

W tym czasie pociągała mnie myśl utworzenia ruchu antykomunistycznego. Wykonując zalecenia dowództwa AK i mając ambicję zorganizowania w Śremie młodzieżowej grupy oporu, zmontowałem kilkusobowy zespół kolegów. Oczywiście – zostałem przywódcą, ponieważ posiadałem największe doświadczenie w konspiracji i ukończyłem akowski kurs podoficerski. Nasza grupka miała dalekosiężne plany, choć na razie jej działalność skupiała się na szkoleniu strzeleckim, które prowadziłem w przybrzeżnych chaszczach Warty. Gromadziłem przeróżnego rodzaju materiały wojskowe przy okazji porządkowania koszar, zbieraliśmy informacje o śremskim urzędzie bezpieczeństwa, rozlepialiśmy na murach ulotki antykomunistyczne. Naszym poważnym i spektakularnym zamierzeniem było wysadzenie w powietrze pomnika wdzięczności Armii Czerwonej, który stanął na rynku naprzeciw sklepu pań Mikołajczakównien.

W czwartek, piętnastego maja 1945 roku mój zastępca Ksawery zameldował, że na tyłach gospodarczej części koszar (tuż obok cmentarza niemieckiego) w wodzie i błocie leży kilkanaście jaskowych granatów niemieckich – oddzielnie korpusy i granatniki. Pojechaliśmy tam rowerami. Wzięliśmy tylko dwa, aby wypróbować ich wartość bojową. Ustaliliśmy, że najlepszym do tego miejscem będzie jedno z wgłębień terenu po wylewie Warty niedaleko Łysej Góry. Po drodze chcieliśmy zabrać ze sobą najstarszego brata Bożenki – Jarocha. Nie zastaliśmy go. Spotkaliśmy za to Bożenkę, która właśnie wieszała na sznurach duże ilości bielizny i prosiła nas (wyższych od niej wzrostem), abyśmy jej pomogli. Nie bardzo rozumia-

blizny⁽²⁾

ła, po co jedziemy nad Wartę, rezygnując z przyjemności spędzenia z nią kilkunastu minut.

Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, wszedłem w zagłębienie, a Ksaweremu poleciłem usunąć się na kilka metrów. Objąłem lewą dłonią korpus granatu (lewą, bo nauczyłem się rzucać czymkolwiek prawą ręką) i włożyłem w niego zapalnik. W tym momencie coś mnie tknęło. Na obrzeżu wgłębienia sterczał kikut po złamanym drzewku. Zapytałem kolegę, czy nie ma długiego sznurka. Wy tłumaczył mi, że przywiązałem granat do drzewka i kilka metrów od niego, będąc w dołku, odpaliłbym granat. Ksawery nie miał sznurka, więc wkręciłem zapalnik do korpusu i pochyliwszy się nieco w lewą stronę – szarpnąłem. Prawa dłoń, która wyciągnęła spłonkę, nie zdążyła nawet „odskoczyć” za prawy bok. Usłyszałem huk, zobaczyłem błysk. Zapytałem kolegę, co się stało. Przerażony Ksawery drżącym głosem próbował mi to opisać. Zrozumiałem, że to coś poważnego i przypomniały mi się książkowe opisy samotnej śmierci żołnierzy na polu walki.

Leżałem na ziemi bez lewej dłoni, że zmasakrowaną częścią prawej, z krwawo pooranym czołem, wyrwą w udzie, nic nie widząc. Kiedy tu jechaliśmy, widziałem stado krów i nadzorującego je mężczyznę. Poprosiłem więc Ksawerego, aby go sprowadził. Przyszedł. Stary i nieco sklerotyczny zaczął mi opowiadać o Verdun, gdzie takich jak ja leżały setki. A moja krew ciekła i ciekła... Po około dwóch godzinach przybiegł Ksawery z kolegami z napotkanej grupy Przysposobienia Wojskowego. Włożyli mnie na nosze i ruszyli w stronę miasta. Nadal ani na chwilę nie traciłem przytomności. Podjąłem z nimi rozmowę. Zwróciłem im nawet uwagę, że z rannym na noszach nie należy iść równym krokiem, lecz przemiennym. Ale nikomu (ani moim ratownikom, ani mnie) nie przyszło

na myśl, aby w jakikolwiek sposób zatamować krew buchającą teraz na skutek ruchu. W połowie drogi do szpitala napotkaliśmy zjeżdżający z pola wóz, więc zajechałem tam jakby karetką.

Położono mnie na stole lub kozetce w izbie przyjęć. Był tam już ksiądz, moja matka, Bożenka, wychowawca naszej klasy, bardzo młody lekarz (jak się dowiedziałem później, zatrzymał się w szpitalu na drodze ze strefy amerykańskiej do Białegostoku) i pielęgniarz – znany mi sprzed wojny Janko. Gdy Janko zaczął ciąć moją odzież, uprzytomniłem sobie, że w wewnętrznej kieszeni marynarki był zamek karabinowy, dwa magazynki karabinowe i plik ulotek. Poprosiłem, aby wszyscy poza Ksawerem wyszli z pomieszczenia. Posłuchali. Poleciłem mu wyjąć zawartość kieszeni... Po kilku minutach zostałem uśpiony.

Zbudził mnie mamrot jakiegoś starego człowieka i jego gramolenie się na moje świeżo amputowane ręce. Narobiłem krzyku. Zabrano mnie z tej izby, która okazała się być przechodnią pacjentów do czasu ich rychłej śmierci. A ja ani o tym myślałem. Zwłaszcza, że utraciwszy wzrok, nie widziałem swoich kikutów ani odbicia w lustrze swojej zabandażowanej twarzy.

Tydzień po operacji na brzegu mojego łóżka siadł wieloletni i przewspaniały ordynator śremskiego szpitala. Ten doskonały chirurg powiedział:

– Chłopcze, albo ty pospieszyłeś się o trzy doby, albo ja o tyle samo się spóźniłem. Przybyłem dzisiaj rano ze strefy amerykańskiej i przywożę penicylinę...

Nigdy nie miałem pretensji do tamtego młodego lekarza, że nie ratował mi trzech palców wiszących przy zmasakrowanej prawej dłoni. Rozległe rany czoła nie nasuwały mi myśli, że przeżyję. Doktor Paul poinformował mnie, jak najdelikatniej, że końce obydwu kikutów mają wystające

kości ledwie obciążone skórą. Konieczna więc będzie reamputacja, co niestety skróci nieco przedramiona. Będąc wciąż jeszcze w szoku, nie martwiłem się tym jednak. Pewnie dlatego, że moich kikutów dotąd nie wyczuwałem i nie wyobrażałem sobie, jak one wyglądają. Po kilku dniach siostra Eliza zdjęła mi opatrunek z czoła i z oczu. Troskliwie zapytała:

– Edżu widzisz?

Nie widziałem.

Po kilkunastu dniach zagoiły się kikuty i rany na czołe. Krewni z Poznania pomogli nam odszukać prywatny gabinet okulistyczny doktor Jasińskiej przy ulicy Kraszewskiego, bo żaden szpital lub klinika nie działały. Znany w Śremie pan Schiler używał nam pozostałej po Niemcach trzykołowej bagażówki. Po kilku dniach pobytu u krewnych i odpoczynku zostałem przewieziony do gabinetu doktor Jasińskiej. Dla mnie było łóżko w prywatnym pokoju, a dla mej matki stare nosze. Doktor Jasińska i druga doskonała okulistka, doktor Borkowska, dokonały usunięcia zaćmy urazowej lewego oka. Po operacji przez chwilę pozwoliły mi spojrzeć tym okiem. Chociaż twarze i wszystkie przedmioty wyglądały tak, jakby pływały w akwarium, wrażenie samego widzenia było niesamowite. Po kilku minutach oko obandażowano.

W gabinecie na Kraszewskiego pozostałem z matką jeszcze kilka dni. Strasznie męczył mnie hałas przejeżdżających pod oknami tramwajów, a w ciągu nocy – nieustanny ryk silników samolotowych poddawanych naprawom i sprawdzaniu. Powrót do domu był ogromną ulgą, a zarazem wyzwaniem – co dalej? Sporo myślałem o powrocie do szkoły. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli nie zdam matury, nigdy nie otrzymam żadnej pracy. Do fizycznej się nie nadawałem, mimo że miałem duże doświadczenie z czasów okupacji. A praca umysłowa bez wykształcenia?

Po drugim pobycie w szpitalu zacząłem poważnie myśleć o powrocie do gimnazjum. Wszystkie klasy miały skrócony program i skrócone wakacje. W 1945 roku nauka rozpoczynała się 1 sierpnia. Niedużo czasu pozostało więc na starania o ponowne przyjęcie do szkoły. Rodzicom pomogli w tym niektórzy pracownicy starostwa powiatowego, w którym ojciec pracował, oraz przyjaciele sprzed września 1939 roku. Grono pedagogiczne było za przyjęciem mnie do pierwszej klasy liceum, pewne opory miał jednak dyrektor Ogonowski. Ostatecznie znalazłem się w klasie o profilu humanistycznym, w tej samej, co Bożenka i Jasiu. Brak palców u rąk uniemożliwiał mi korzystanie z alfabetu Braille'a. Brak zaś talentu matematycznego nie pozwalał mi wyjść poza to, czego nauczyłem się w szkole powszechnej. Dlatego po usilnych staraniach popartych przez nauczycieli matematyków na razie miałem być traktowany z dużą ulgą.

Wychowawcą naszej klasy był profesor Adamczewski – matematyk, a następnie profesor Horowski – łacinnik. Wziąłem się pilnie do nauki. Trudności pokonywałem dzięki życzliwości i dużej pomocy ze strony moich koleżanek i kolegów, a zwłaszcza Edka i Bożenki (kolejność raczej odwrotna). Wkrótce wybuchła afera z księdzem preфекtem. Otóż dwie nasze klasy, które wspólnie miały z nim lekcje, zbuntowały się przeciwko bezprawnemu ustanowieniu przez niego egzaminu maturalnego z jego przedmiotu. Tylko kto odważy się przeciwstawić? Wypadło na Jaworskiego. Przyjąłem tę misję i srodze zostałem za to ukarany. Ksiądz prefekt odsądził mnie od czci i wiary i oświadczył, że nie zrezygnuje ze swego żądania. Bolesniejsze jednak było dla mnie to, że nikt z obu klas ani pisał, aby mnie poprzeć. W ciągu dwóch tygodni wszyscy pokornie stanęli przed obliczem prefekta. Ja – złamany buntownik – uproszony w końcu przez Bożenkę, uczyniłem to jako ostatni. Ksiądz ni słowem, ni gestem nie podkreślał, że zwyciężył. Muszę przyznać, że niekiedy wykiwał klasę.

cdn.

EDWARD NIEMCZYK

Odkrywanie talentów

12 osób z niepełnosprawnościami uczestniczyło w pięciu sobotnich spotkaniach w ramach „Kludynkowych Warsztatów Artystycznych”, które odbywały się w siedzibie Kórnickiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Niepełnosprawnościami Intelktualną i Ruchową „Kludynka” w Kórniku.

Dla uczestników zapewniony był dojazd autobusem. Tematem warsztatów było szeroko pojęte rozwijanie umiejętności artystycznych. Tworzenie prac plastycznych o różnorodnej tematyce służyło uwarzliwianiu osób z niepełnosprawnościami na piękno i sztukę, w tym na towarzyszącą warsztatom muzykę. Celem było też odkrywanie talentów artystycznych. W przeprowadzeniu zajęć wsparcia udzielili



wolontariusze, wysoko cenieni w Stowarzyszeniu.

„Kludynkowe Warsztaty Artystyczne” dofinansowano ze środków Powiatu Poznańskiego.

ROBERT WRZESIŃSKI

FOT. KATARZYNA ŚLUSKA

Prawie 38 litrów krwi

Podczas 95. poboru krwi zorganizowanego przez Klub HDK PCK „Lubonianka” im. bł. E. Bojanowskiego w Luboniu 7 i 8 kwietnia w pomieszczeniach Szkoły Podstawowej nr 1 cennym lekiem pobieranym przez pracowników Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Poznaniu podzieliło się 84 krwiodawców, w tym 23 kobiety, co przyniosło 37,8 litrów krwi.

W przygotowanie poboru zaangażowani byli: Piotr Nowak, Marcin Nowak, Zbysz-

ko Wojciechowski, Roman Estkowski, Tadeusz Nawrot, Hanna Pawlicka i Zbyszko Wojciechowski.

Krwiodawcom przekazano upominki od sponsorów, którymi byli: Ziolołek Sp. z o. o., ASO Diesel z Poznania, Kompania Piwowarska S.A., Strauss Coffee Swadzim, Dramers S.A. Zarząd Klubu „Lubonianka” dziękuje dyrektorowi SP nr 1 Grzegorzowi Aniole za udostępnienie pomieszczeń w szkole.

ROBERT WRZESIŃSKI



FOT. ROBERT WRZESIŃSKI

Już po raz ósmy w Tarnowie, w hali sportowej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej, 15 kwietnia odbyły się zawody we wspinaczkę sportową osób z niepełnosprawnościami, zorganizowane przez Fundację Rozwoju, Edukacji, Pracy, Integracji.

W tegorocznych zmaganiach wzięło udział 74. zawodników z 17. klubów sportowych i placówek wspomagających rozwój ich uczestników. Reprezentowali oni cztery województwa. Tym razem rywalizujących wspinaczy i placówek było więcej niż zwykle, a rekordy uzyskane przez zawodników zostały pobite. Usprawniono także organizację zawodów, dzięki czemu przeprowadzono je w krótszym czasie. Licznie przybyli kibice, opiekunowie, rodzice i trenerzy osób z ograniczoną sprawnością. Za wkład pracy podziękował im Wojciech Nowak, prezes AZS PWSZ w Tarnowie.

– Zawody odbywały się według przepisów ogólnoswiatowych, dotyczących osób z niepełną sprawnością – powiedział Maciej Żak z Fundacji REPI. – Aby miały bardziej dynamiczny charakter podzielono zawodniczek i zawodników na kategorię „na czas” oraz na kategorię „w stylu dowolnym”. Dlatego cała ściana wspinaczkowa gościnnie PWSZ w Tarnowie żyła wysiłkiem, trudem i radością osób ją pokonujących.

Oto zwycięzcy:

Zawodniczki w stylu wolnym: 1. Katarzyna Gorlicka

ze Szczawnicy, 2. Danuta Solarz z Krakowa, 3. Małgorzata Plebańczyk z Dąbrowy Tarnowskiej

Zawodnicy w stylu wolnym: 1. Tomasz Bielak z Muszyny, 2. Piotr Mosiej z Muszyny, 3. Kamil Środoń z Wolbromia

Zawodniczki na czas: 1. Małgorzata Kocur z Tarnowa (WTZ SOSW), 2. Edyta Jankowska z Dąbrowy Tarnowskiej, 3. Celina Liptak ze Szczawnicy.

Mężczyźni na czas: 1. Kamil Cedrowski z Tarnowa (WTZ JP2), 2. Wojciech Moskal z Dąbrowy Tarnowskiej, 3. Damian Ptak z Tarnowa (Fundacja REPI).

Wszyscy zawodnicy otrzymali prezenty i dyplomy. Najlepszym wręczono także statuetki, medale i puchary. Zawodników dekorowali m.in.: Małgorzata Kołpa, prorektor PWSZ, Marek Baran i dyrektor Wydziału Sportu Urzędu Miasta Tarnowa.

Po raz pierwszy w Tarnowie zawody we wspinaczkę dla osób z niepełnosprawnościami odbyły się w 2012 roku. Z roku na rok rozwijały się, powiększając liczbę zawodników i placówek. Tegoroczna organizacja ogólnopolskich zawodów zrealizowana była z budżetu Miasta Tarnowa w kwocie w wysokości 3.000 zł.

W pomoc na rzecz zawodów mogą włączyć się wszyscy, fundując nagrody lub przekazując Fundacji REPI datki na organizację zawodów.

TOMASZ E. WARDZAŁA
PREZES FUNDACJI REPI



ZAWODY WE WSPINACZCE SPORTOWEJ OSÓB Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI W TARNOWIE

Wysiłek, trud i radość



14 KWIETNIA

Pierwszy raz na badanie kliniczne do Rzeszowa poleciałem samolotem na początku listopada. Trasę 600 kilometrów pokonaliśmy błyskawicznie, na miejsce do szpitala dojechałem strasznie zmęczony. Przy badaniach okazało się, że mam nadciśnienie, więc musiałem czekać, aż Regeneron zdecyduje czy mogę brać udział w badaniu. Mimo długiego czekania pobyt wspominam bardzo miło...

Kolejne wyjazdy po kroplówkę z lekiem następowały mniej więcej po miesiącu, przeważnie na początku miesiąca. Ale od grudnia miałem zakwaterowanie już w innym hotelu, bo w moim hotelu poprzednim był już zakwaterowany inny chory. Niestety, hoteli przystosowanych do osób niepełnosprawnych nie ma w Rzeszowie dużo, właściwie tylko dwa. Ale w obu obsługa i pokoje są bardzo dobre.

Kilka dni temu wróciłem z kolejnej, szóstej już podróży do Rzeszowa. Tym razem jechałem bussem, przypięty pasami z tyłu pojazdu. Mogłem więc obserwować całą drogę, a mój żołądek nie był już bujany na boki w trakcie jazdy.

Z domu wyjechaliśmy w niedzielę przed godziną 10 rano, w Rzeszowie byliśmy po godzinie 16. Po zameldowaniu się poszliśmy do hotelowej restauracji na obiad, a resztę dnia spędziliśmy w pokoju na odpoczynku.

Pół roku badań klinicznych



Ogródek z alejkami, altanami, oczkiem wodnym...

W poniedziałkowy poranek pojechałem do szpitala, oddałem porcję krwi do badań, zmierzono mi ciśnienie i ekg serca i

wróciłem do hotelu. Po śniadaniu poszliśmy z mamą na mały spacer, było tak ładnie i ciepło (17 stopni i słonecznie), że nawet nie brałem ze sobą kurtki. Pochodziliśmy sobie po sklepach, zrobiliśmy małe zakupy, a z powrotem zatrzymaliśmy się trochę w parku koło naszego hotelu. Było naprawdę fajnie.

Do hotelu wróciliśmy po ponad trzech godzinach spaceru, niezmiernie głodni. Zjedliśmy obiad, potem odpoczywaliśmy, a pod wieczór jeszcze zrobiliśmy małą rundkę wokół hotelu. Okazało się, że z tyłu budynku jest taki mały ogródek z alejkami, altanami, oczkiem wodnym i miniaturowym strumykiem, a nawet placem zabaw dla dzieci. Teraz jeszcze nie było zbyt wielu roślin, ale latem jak rozkwitną kwiaty, to będzie pięknie i kolorowo.

We wtorek mieliśmy dzień wolny, więc pospałem sobie trochę dłużej, a po śniadaniu znów poszliśmy na spacer i zakupy. Mama kupiła sobie białe sasanki do swojego ogródka, a ja nową czapkę z daszkiem, żeby na spacerach mnie słońce nie spaliło. Po czterech godzinach wróciliśmy na obiad do hotelu, a reszta dnia minęła

nam tak samo jak dzień wcześniej.

Środa zaczęła się wyjątkowo wcześniej, bo już o godzinie 7 rano byłem w szpitalu. Ale do godziny 10 musiałem czekać na dostarczenie lekarstwa do ambulatorium. Gdy już podłączyli mi kroplówkę, to znowu musiałem czekać godzinę, aż mój organizm ją „wypije”, a potem jeszcze cztery godziny czekania i w międzyczasie badań (ciśnienia i serca). Ale w trakcie tego oczekiwania miałem dwie niespodzianki. Najpierw spotkałem Karinkę – dziewczynkę także chorującą na FOP. Jej rodzice odwiedzili mnie w ubiegłym roku jesienią, mieszkają około 40 kilometrów od Żabna. A tu się spotkaliśmy 600 kilometrów od domu.

Drugą niespodziankę sprawiła mi doktor Dąbrowska. Przyszła do mnie z grupką studentów medycyny, którzy na własne oczy mogli się przekonać, jak FOP usztywnia ciało. Zostałem trochę „wymacany”, mogli dotknąć skostnień na nogach, sprawdzić sztywność stawów kolanowych czy przegubów rąk, zobaczyć jak wyglądają charakterystyczne skrócone i krzywe paluchy u nóg – pierwsza oznaka choroby u dziecka.

Po ich „badaniu” czekałem jeszcze do godziny 16 i w końcu doczekałem się wyjazdu do domu. Znowu jechałem bussem, podróż trwała szybciej niż karetką i już po godzinie 22 dotarłem do domu. Zmęczony położyłem się zaraz do łóżka i momentalnie oczy mi się zamknęły.

Minęło już pół roku od rozpoczęcia badań, więc teraz będzie się to odbywać na innych zasadach. Teraz już nie będę miał tej tak zwanej „ślepej próby”, koniec z niewiedzą, czy dostaję lek czy placebo. Od tej pory każda kroplówka podpięta do moich żył będzie zawierać tylko samo lekarstwo. I przekonamy się jakie będą rezultaty badań. Bo chociaż i tak nie jest źle, ból w nogach zmniejszył się bardzo, to może podawanie czystego leku przyniesie jeszcze lepsze rezultaty?

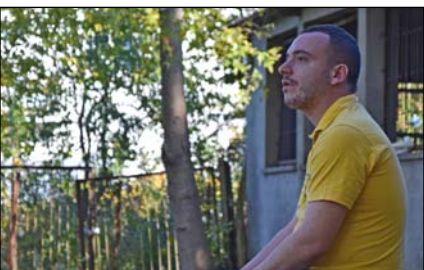
Czas pokaże, co będzie dalej...

TOMASZ PRZYBYSZ



Autor tekstu.

Szewczyka dratewki historia prawdziwa



Zamyślenie w ogrodzie.

Mam na imię Damian, jestem uczestnikiem Warsztatu Terapii Zajęciowej w Śremie od kwietnia 2017 roku. Placówka ta istnieje od 1 grudnia 2016 roku. Pierwszy raz usłyszałem o WTZ od mojej mamy. Rozmawialiśmy wtedy przy kolacji na ten temat, ale jakoś nie zainteresowałem się i szybko o tym zapomniałem. Ten temat powrócił jakieś dwa miesiące później, kiedy odwiedziła nas moja kuzynka.

Zaczęła mnie namawiać, abym tam się zgłosił, ponieważ inne niepełnosprawne osoby z mojej miejscowości tam uczęszczają i są bardzo zadowolone. A na czym polega moja niepełnosprawność? Otóż jestem osobą z zespołem PZ czyli z pozytywnym zakręceniem; a tak na poważnie – z prawostronnym mózgowym porażeniem dziecięcym. Po wizycie kuzynki zacząłem się zastanawiać nad sobą i nad tym, co mi powiedziała. Bo moje życie tylko podczas weekendów było dość ciekawe. Były spotkania ze znajomymi, wyjazdy na koncerty, spotkania towarzyskie, biwaki, woodstocki (od 2014 jestem wiernym bywalcem tego festiwalu). A podczas zwyczajnych dni przez te wszystkie lata czułem, że dopada mnie pustka, apatia, zobojętnienie. Wpływ na to miała na pewno strata dwóch bardzo bliskich mi osób: śmierć mojej babci w 2014 roku i w 2015 śmierć ojca.

Postanowiłem: spróbuję! Porozmawiałem jeszcze z mamą, która powiadomiła panią z Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej, że jestem zdecydowany i to ona powiadomiła WTZ. Była połowa kwietnia. Czekałem w umówionym miejscu. Podjechał bus, wsiadłem. Moje pierwsze

wrażenia? Nie powiem, stres był. Osoby w busie ciche, milczące, myślę sobie: nowy jestem, nie znamy się, może dlatego ta cisza. Za to pani terapeutka wygadana, uśmiechnięta. Zobaczymy, co to będzie. Dojechalismy na miejsce.

Przekroczyłem próg WTZ i w tym momencie zostałem przedstawiony jako nowy uczestnik. Pierwsza przywitała mnie Ania, później reszta terapeutek i terapeutów czyli Patrycja, Daria, Ewelina, Dominika, Kasia i Piotr. Uśmiechnięci, młodzi. Mówię sobie w myślach – piękne kobiety, jest dobrze. Po chwili zaczęli się ze mną witać uczestnicy i uczestniczki i w tym momencie pojawiły się w mojej głowie słowa refrenu piosenki Elektrycznych Gitar „Co ty tutaj robisz”. Przeraziłem się trochę, w większości były to osoby na innym poziomie intelektualnym niż ja. Wcale się nie wywyższam czy chwale, po prostu stwierdzam fakt.

Dla mnie było to ciężkie przeżycie, gdyż całe swoje życie, zaczynając od szkoły podstawowej po szkołę średnią i dalsze lata mojego życia, otaczałem się osobami „sprawnymi” i jakby nigdy nie czułem się osobą niepełnosprawną, mimo że tak byłem postrzegany przez tych „sprawnych”. W większości ci, którzy mnie tak postrzegali, byli zwykłymi intelektualnymi amebami (to moje odczucie). Przy rodzinie i najbliższych czułem się zawsze normalnie, dlatego tak to postrzegałem w tym czasie.

W tych pierwszych chwilach w WTZ biłem się z myślami, czy jutro tu wrócić. Wówczas zaczęła ze mną rozmawiać Ania. Dzięki niej stres od razu zaczął ze mnie schodzić. Wyczułem, że życzliwość i pogodny uśmiech to jej prawdziwe jej wyposażenie. Pokazała mi wszystkie pracownie. Przeprowadziła wstępną rozmowę na temat regulaminu i zasad panujących w Warsztacie. Była akurat przerwa śniadaniowa. Wszyscy uczestnicy zasiadli na stołówce, a ja chodziłem po pustych pracowniach, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca. Myślałem o tym, w jakiej pracowni się odnajdę. Kompu-

terowa mnie nie interesowała, ogrodniczo-bukieciarska też nie. Mimo że ukończyłem liceum o profilu ogrodniczym, to nigdy jakoś tego nie lubiłem. Artystyczna – chociaż niezły ze mnie artysta, w tym czasie nie wchodziła w grę. Gospodarstwo domowe? Lubię jeść, ale gotować – już średnio. Krawiecko-dziwiarska? To raczej babskie zajęcie (z perspektywy czasu uśmiecham się, gdy to piszę).

Pracownia rękodzielnicza? To jest to – pomyślałem. Gdy po pierwszej przerwie śniadaniowej uczestnicy i terapeuci wrócili do swoich zajęć, oznajmiłem, że chcę być w pracowni rękodzielniczej. Zakasałem rękawy gotowy do pracy i nie mogłem się doczekać, jak zaraz wióry się posypią. Posypały się, ale nie wióry, tylko moje wyobrażenia co do tej pracowni i zawodu jaki sprawił mi pan Piotr. Przez dwie godziny wylepiałem wraz z innymi uczestnikami obrazek pszczołki Mai – kuleczkami z krepiny. Obserwując innych uczestników rozumiałem, że było to zadanie, które innym sprawiało satysfakcję. Jednak nie wzbudziło mojego zainteresowania. Po drugiej przerwie śniadaniowej dalej chodziłem od pracowni do pracowni z zaciśniętym gardłem i nadal biłem się z myślami, czy jutro tu wrócić. Formalnie nie byłem jeszcze uczestnikiem.

Pracownie krawiecko-dziwiarska i rękodzielnicza są ze sobą połączone, mają osobne pomieszczenia, jednak żeby

wejść do rękodzielniczej, trzeba przejść przez pracownię krawiecko-dziwiarską, gdzie terapeutką była i jest do dzisiaj pani Kasia. Gdy przechodziłem, zaczęliśmy rozmowę. Zapytała, czy nie chciałbym spróbować skleić pistoletem na ciepły klej kapelusika na szpilki. Pomyślałem: co mi szkodzi, można się oparzyć w palec ciepłym klejem. Cały czas ze mną rozmawiała. Dzięki jej podejściu do mojej osoby poczułem się po prostu komfortowo. Wyczułem dobro, które od niej biło. Postanowiłem zostać w tej pracowni.

Pani Kasia już po tygodniu zaproponowała mi, abym spróbował usiąść przy maszynie do szycia. Myślę sobie: ła! – krepina, ciepły klej i nagle taki przeskok! To mnie bardzo podbudowało. Zacząłem poznawać tajniki obsługi maszyny i szycia na niej. W międzyczasie dzięki osobie pani Kasi zacząłem otwierać się na uczestników i terapeutów. Zmieniłem się dzięki niej jako człowiek. Również dzięki pozostałym terapeutom i uczestnikom dużo zyskałem. Na tym kończę moją krótką opowieść. Myślę, że nie ostatnią. Dzisiaj, po dwóch latach w śremskim WTZ, jestem szczęśliwym człowiekiem i z uśmiechem przekraczam jego próg. Zawsze mogę liczyć na terapeutów i uczestników. To anioły w ludzkiej skórze, które trafiły się w moim szarym życiu.

DAMIAN ROMAŃSKI
UCZESTNIK WTZ W ŚREMIE



Autor tekstu przy pracy.



Zbigniew M.
Nowak
KOŁOBRZEG

Szczygieł⁽¹⁰⁾

Na salę wszedł oddziałowy. O skraj fartucha czyścił szkła. Kiedy założył je, powiódł po nich zimnym wzrokiem.

– A wy co? – rzucił. – Karmicie się gołąbeczki-szczygiełeczki?

– Hubert nie ma smaku – rzekła Dominika.

Pielęgniarz zignorował jej słowa. Zauważył mokrą plamę pod sąsiednim łóżkiem.

– A ten co? – podszedł i odkrył prokuratora.

– Joanna! – zawołał donośnym głosem. – Niech no która przyjdzie tu! Prokurator znowu ściągnął se cewnik! Bambaryła! – dodał równie głośno.

Skrzywiony puścił koldrę i przeniósł wzrok na Dominikę.

– Chciałabyś, żeby po wyjęciu rurek tak od razu miał smak? Wszystko ma podrażnione i opuchnięte, jak może cokolwiek czuć? Nawet migdałowy tort by mu nie wchodził. Ale ty! Ty nie pchaj mu tyle, bo go załatwisz. Te jego podroby ledwie, ledwie.

Dominika chciała coś powiedzieć, lecz na łóżku obok prokurator poruszył się gwałtownie.

Zerwała się.

– Ma atak! – zawołała.

– Psiakrew! – zaklął oddziałowy, biegnąc na pomoc.

– Dostał dziś swoje leki? – zapytał po chwili, przytrzymując beładnie kopiące nogi chorego.

– Sama dawałam.

– Zalecone ostatnio przez profesora też?

– Te także.

Za chwilę przy sąsiednim łóżku zawrzało. Hubert nie wiedział, co się stało. Z urywanych rozmów wywnioskował, że prokurator ma zapaść. „Co to może być ta zapaść?” – zastanowił się. Co chwilę słyszał przyspieszony tupot kroków. Kątem oka widział lekarzy. Pojawił się stojak z kroplówką. Przyszedł ordynator i ktoś zażądał obecności profesora. Padały krótkie polecenia i nerwowe odpowiedzi.

Długo trwała akcja przy tamtym łóżku. Kiedy w końcu stan prokuratora wrócił do równowagi, oddziałowy wpuścił Mateusza.

– Kapitalnie! – Mateusz ucieszył się na widok syna. – Kapitalnie, że nie masz już tych ru-

rek. Dużo zdrowiej wyglądasz, wiesz? A jak się czujesz?

– Nie... źle... – zaskrzeczał.

– No, proszę! I mówić możesz – wydał się zaskoczony.

– Tylko... powie... trze... mi... ucie... ka... przez... dziu... rę...

– Właśnie widzę, że masz ją zaklejoną plastrem. Jest zaszyta?

Mrugnął dwa razy i zaraz poprawił się.

– Nie... jest...

Mateusz rozejrzał się. Zauważył bułkę i szklanek z herbatą.

– To twoje? Jadłeś już?

– To... od... Domi... niki...

– Od tej młodej pielęgniarki? Miła jest, prawda?

– Odda... ła... mi... swój... pro... wiant...

– I co? Nie smakuje ci?

– Jak... tro... ciny...

– Zmienił ci się smak?

– Po... rurach...

– Możliwe. Trzeba trochę czasu, żeby ci się kubki smakowe obudziły. Więc jesteś głodny?

– Tylko... pić... mi... się... chce... – powiedział, a Mateusz zaraz sięgnął po szklanek.

– Herbatą całkiem zimną. Poczeka, zrobię ci świeżą.

– Nie... trzeba...

Niecierpliwił się. Tak dawno nie pił herbaty z cytryną.

Siorbnął głośno z łyżeczki i skrzywił się.

– Co? Też niedobra? – zdziwił się Mateusz. – Spróbuj jeszcze raz – poprosił.

Znów upił trochę z łyżeczki.

– Ohy... da... – powiedział, krzywiąc się.

– No, to mamy problem, nie spodziewałem się – zakłopotał się Mateusz. – To czego mógłbyś się napić? Dam ci soku, co?

Kiedy wróciła Dominika, sprawdził dokładnie zawartość szalki.

– Same porzeczkowe – westchnął. – I dwie wody Jana.

– Jedna z pacjentek popija zioła – radośnie oznajmiła pielęgniarka. – Może to Hubertowi zasmakuje. Co, Hubert?

Mateusz wziął szklanek i zrezygnowany nabrał łyżeczkę.

– Może to? – Podał do wypicia bez najmniejszego przekonania.

Hubert siorbnął, spodziewając się nowego zawodu, lecz stało się, jak wtedy... Babcia przyniosła wiadro herbaty dla kosiarzy. Pili z obtłuczonych kubków. Upał wysuszył usta, a orzeźwiający napój rozlewał się na języku i przyjemnie spływał do żołądka. Powietrze pachniało radością o smaku mięty...

– Lekko... za... słodka... – uśmiechnął się uszczęśliwiony. – Ale... pro... szę... o... wię... cej...

ROZDZIAŁ 10

Silny wiatr poruszał kwiecistą zasłoną i przez pęknięcie w szybę wiał w twarz. Kiedy Helena otworzyła drzwi, przeciąg targnął zasłoną i zatrząsł całym oknem.

– Ma... mo! – uradował się. – Nie... spodzie... wałem... się... cie... bie... – rzekł urywanym głosem. W płucach wciąż za mało było powietrza i zbyt porażone miał mięśnie, żeby mówić lepiej.

– Dziś są twoje imieniny, syneczku – powiedziała cicho Helena. – Wszystkiego dobrego. – Nachyliła się i go pocałowała.

„Imieniny? – pomyślał. – Więc mamy już trzeciego listopada?”

– Zdrowiej nam, synciu! – winaowała mu. Było w jej wyglądzie coś nowego, coś innego, czego zrazu nie był w stanie rozpoznać. Wyrwał się z łóżka, zrywał, by być bliżej niej. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, z czego ta inność wynikała.

– No... sisz... ma... mo... peru... kę? – zapytał, kiedy pochylała się nad nim.

– Właśnie... – przyznała mocno speszona. – Są modne tej jesieni... Dużo kobiet takie nosi – odparła. – Powiedz, jak się czujesz?

– Jak... by... w... ży... łach... pty... nęła... mi... rozto... piona... cyna... – Już w połowie zdania wyczerpany ledwie dobnał do jego końca.

– Rozmawiałam z profesorem, to prawdopodobnie ból neuropatyczny. Może być dobrym znakiem. Takie są symptomy powracającego czucia.

– Nie... czuję... igły...

– Masz „czucie głębokie”. To już coś, synciu, na więcej trzeba niestety jeszcze trochę pocze-

– Dam... – odparł stanowczo, choć właściwie to dawanie rady działo się samo. Zmagał się, walczył z każdym bólem i słabością, które teraz wydawały się stanem permanentnym, wierząc każdej chwili, ale były to raczej odruchy, instynktowny opór, prymitywna siła życia niż zaplanowane dawanie rady chorobie.

– Mój syneczku... – szepnęła.

Głos zbliżających się kroków odwrócił jego uwagę.

– Popatrz, kto przyjechał ze mną.

Spojrzał w bok i zaraz w zasięgu jego wzroku pojawiła się uśmiechnięta twarz.

– Cześć, Huberku! A tu taka niespodzianka! Co, nie poznajesz mnie? – rozległ się znajomy głos. Obok Heleny stała śmiejąca się dziewczyna.

– Cześć... Ma... dziu... – Ucieszył go jej widok. Była w zielonym golfie, który rok temu Helena zrobiła dla niej na drutach.

– No, cześć... Już myślałam, że mnie nie poznałeś.

Uśmiechnął się niepewnie. Ale nie, nie mylił się...

– Już raz byłam u ciebie, a ty nic, zupełnie jakbyś mnie nie widział... – wyszczebiotała.

– Madziu – szepnęła Helena – rozmawialiśmy o tym... Hubek nie czuł się wtedy dobrze. Przecież wiesz.

– Ja wiem, nie gniewam się. To pewnie przez to, że zmieniłam uczesanie. Widzisz? Przycięłam włosy – stanęła bliżej. – No, jak ci się podoba moja nowa fryzura? Masz pozdrowienia od chłopaków z klasy. Czekają na ciebie. Musisz się zbierać, żeby matura ci nie uciekła. No i studniówka. Musimy być razem. A w ogóle, najlepsze życzenia imieninowe! – rzuciła jednym tchem, nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Chyba jeszcze jest trochę czasu? – włączyła się Helena. – Do tej studniówki.

– Później pokażę ci, jaką sobie suknię wymodliłam. Belfrzy mówią, że obowiązują mają czarna spódnica i biała bluzka. Jak na egzaminach wstępnych. Ale wiesz, jak to jest, prędeży wróble będą ważyć sześć kilo, niż któraś tak się ubierze. Mówię ci, wszystkie dziewczyny coś sobie szykują. Ubiór na pensjo-

narękę dobry był za czasów króla Cwiczka. Co nie?

– Madziu, proszę cię – wtrąciła się Helena. – Już wystarczy. Nie męcz go.

– Przepraszam, ale tak dużo mam ci do powiedzenia, Hubercie – rzekła wciąż zaaferowana. – Jak się czujesz? – spytała.

– Ob... le... ci...

Zaśmiała się.

– Czyli dobrze. Z zewnątrz też wyglądasz nieźle. Prawda, pani Helenko?

– Usiądź tu – Helena pokazała jej miejsce, w którym mógł ją dobrze widzieć. – Przyniosłam ci nowe zapasy sera i szynki, wzięłam też trochę owoców, twoich jabłek i proteiny.

– Pro... te... iny?...

– Proteiny. Profesor mi polecił. Uważam, że to znakomity pomysł.

Uśmiechnął się.

– Będę... pa... kował? – rzekł.

– Już znalazłam dystrybutora. Ojciec ci przywiezie. A sama – dodała, wyjmując paczkę niewielkich pudełeczek – kupiłam mleczko pszczele. Pomyślałam, że skoro jedzą je młode pszczoły, to i tobie posłużą.

– Przyda ci się – rzuciła Magda. – Już bardziej odchudzać się nie powinienś...

– Madziu, skarbie... Pójdę odnieść to do lodówki – rzekła Helena, wstała i podniosła wypchaną reklamówkę.

– Nie zamęczaj go, Madziu – upomniała jeszcze od progu.

– Och, Hubek! Jedz te proteiny i zdrowiej szybciej – powiedziała Magda, kiedy zostali sami. – Mam tyle planów... Tyle teraz się dzieje... Powiedz, czy coś cię boli?

– Tro... chę...

– No, bo wiesz? Jak byłam ostatnio, to nie wyglądałeś najłepiej...

– A... te... raz?

– Teraz to niebo a ziemia – zaśmiała się. – Chłopaki mówią, że brakuje im bramkarza. Mają kogoś na zastępstwo, ale to kaleka, nie bramkarz... I chłopaki cię pozdrawiają... Wybierają się do ciebie... Ale naprawdę już lepiej wyglądasz...

Coraz mniej ważne było dla niego to, o czym mówiła. Z wolna przestawał należeć do tamtego świata, do tamtej rzeczywistości. Zaczynał być tu – w innym życiu i innym wymiarze. Jego myśli już krążyły po zupełnie odmiennych orbitach.

– Synku, mówią mi tu pielęgniarki, że nadal nie możesz

ZBIGNIEW NOWAK

Skarga

*Wysmagaleś nas losie niedobry,
Wychłostałeś okrutnie skrzywdzonych,
Gwałtowny na kształt jadowitej kobry,
Koszmarniejszy od harpii głodnych.*

*W szybszy niż spłoszone sarny,
Dłuższy nad uparte nieszczęście,
Zdradziecki czas zakłęś marny
W boleści trudny niepojęcie.*

*Czemu tak zawzięcie wisisz nad nami?
Zimną chmurą oddzielasz od słońca,
Dziobiąc naszymi karmisz się ranami
Sępim szponem łamiesz do końca.*

KOŁOBRZEG, 22 LUTEGO 2019 ROKU

spać – Helena przerwała tok rozmowy. – Noc musi ci się dłużyć. Rozmawialiśmy o tym z ojcem i kupiliśmy ci radio w prezencie imieninowym.

„Radio! – ucieszył się. – Jaki szczęśliwy pomysł. Radio... Czemu sam na to nie wpadłem?”

Pojaśniał, kiedy obie wypakowały z kartonowego pudła spore urządzenie. Helena rozejrzała się, gdzie można by je ustawić. Półka obok, ponad szafką nocną, na której akurat nic nie leżało, była odpowiednim miejscem.

– Ja sięgnę – Magda wzięła radio i postawiła tam. – Jest na baterie – powiedziała. – Ale, rzecz jasna ma zasilacz – wetknęła wtyczkę do kontaktu i nacisnęła pierwszy przycisk. Z małych okrągłych głośniczków cicho popłynęła muzyka.

– Deep Purple Child in Time. Może być? – spytała Helena, uśmiechając się.

– Ładne... – odparł.

– Ma jeszcze wbudowany magnetofon i odtwarzacz kompaktów – powiedziała Magda – ale płyty i kasety przywieżę ci następnym razem.

– Taki... minigrajak – rzekła Helena. Widziała, że spodobał mu się. – A tu, kochanie – pokazała mały bukietik wrzosów – coś, co zerwałyśmy ci w lesie. To od Kasiuni.

– Kocha... ny... skrza... t... Gdzie... jest?... – zapytał. – Czy... już... zdro... wa?

– Cały czas chce cię odwiedzić. Ale tutaj tylko dorosłych wpuszczają.

– Kasia... – rozczulił się. – Ład... ne... te... wrzo... sy...

ROZDZIAŁ 11

Termin operacji zapadł dość niespodziewanie. O tym, że będzie operowany, Hubert dowiedział się rano, podczas wizyty. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby wcześniej ktoś mówił mu o niej, a jeśli były jakieś na ten temat aluzje, to dopiero teraz je zrozumiał. Od wczoraj leżał sam. Jego sąsiad raptem gdzieś zniknął.

*

Tymczasem Helena prosiła profesora o szczególną troskę.

– Wzrusza mnie pani – szczerze powiedział. – Walczy pani o syna jak ta lwica. A dziś była u mnie matka innego pacjenta, chłopca w wieku Huberta. Zaklinała mnie na wszystkie świętości, żebym jakimś dobrym zastrzykiem skrócił męki jej syna, bo taki „kalika” na nic nie zda się w gospodarstwie. Ani na traktor nie wskoczy, ani widłami nie machnie.

– Ja szukam u pana, panie profesorze, choć cienia nadziei, że operacja zachowa syna przy życiu.

– Operacja, proszę pani – dość oficjalnym tonem odparł profesor – jest jedyną gwarancją jego życia, a kto wie... może i powrotu do jakiejś sprawności...

– Sprawności? – podchwyciła. To było znacznie więcej, niż oczekiwała, więcej, niż mogła prosić. – Tak, sprawności... rozu-

miem. To byłoby cudowne... To byłoby najcudowniejsze. Sprawność... Więc przeżyje?

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wzruszenie zdławiło jej głos. Ta obietnica była kroplą balsamu na jej poszarpaną duszę i nadzieją, prawdziwą nadzieją.

– Dziękuję panu, panie profesorze. Bardzo panu dziękuję – wyszeptała.

*

Jakimś zmysłem czuł, że stół, na którym go układają, jest twardy, zimny i niewygodny. Ktoś chwycił go za ramiona i próbował dopasować do podpórki.

– Doczekałeś się, Szczygieł, co? – poznał głos. – Już niedługo...

Oddziałowy podszedł do niego i zaczął przypinać jego ręce. Słyszał, jak sprzączki z cichym terkotem zaciskają pasy z syntetycznego włókna. Potem jakaś pielęgniarka założyła mu wenflon. Oddziałowy zbliżył się do niej i sprawdził, czy igła dobrze siedzi w żyłę. Ktoś ustawił nad nim dużą, okrągłą lampę. Światło błysnęło z góry. Zaczął się denerwować. Zielone ściany i stukot rozkładanych narzędzi niepokoiły go. Nikt nic nie mówił, tylko te metalowe instrumenty było wyraźnie słychać.

cdn.



Książka wydana nakładem
Wydawnictwa BIS

ul. Łódzka 44a

01-446 Warszawa

tel. (22) 877-27-05, 877-40-33

fax (22) 837-10-84

FILANTROP NASZYCH CZASÓW

Miesięcznik

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Marcin Bajerowicz – redaktor naczelny,
Karolina Kasprzak – zastępca redaktora
naczelnego, Krystian Cholewa,
Stanisław Furmaniak, Agata Krystosik-
-Gromadzińska, Monika Janc,
Marek Kalbarczyk, Daria Krzyszkowiak,
Zbigniew Nowak, Tomasz Przybysz,
Andrzej Rossa.

ADRES REDAKCJI:

60-681 Poznań
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
tel. 822-64-54, kom. 608-311-903
e-mail: mbajerowicz@wp.pl
www.jadwiga.org

WYDAWCA:

Fundacja Pomocy Osobom
Niepełnosprawnym „Filantrop”
os. Bolesława Chrobrego 33 m 65
60-681 Poznań
tel. 608-311-903, 61-8226-454,
www.filantrop.org.pl

KONTO:

BZ WBK SA VI/O Poznań
28-1090-1362-0000-0001-0665-8259

DRUK:

DRUKARNIA „KOM-DRUK”
Grzegorz Komisarek
ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań
tel. 618 172 206,
e-mail: komdruk@wp.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo
skrótów i zmian w nadsyłanych
materiałach oraz nie bierze
odpowiedzialności za ich autorstwo.

Za treść reklam i ogłoszeń
redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Jerzy
Szulc
WARSZAWA

ROLOWANIE

Największe korzyści
Z harówki rolników
Czerpie rozpasana
Banda pośredników.

PIERNIK

Miał chrapkę na babkę,
W objęcia ją złapał,
Wskoczyli do łóżka
I całą noc... chrapał.

MŁOCIARZ

Bił rekordy
W rzucie młotem,
Aż mu dysk
Wyskoczył potem.

GŁODÓWKA

Bez jedzenia
I bez picia
Przywołuje się
Sens życia.

DIAGNOZA

Na co jestem chory?
Spytał. A lekarze

Fraszki

Rzekli: leż spokojnie,
Sekcja zwłok pokaże.

OGŁUPIONY

Związali mu ręce
I nie było mowy,
Żeby on mógł sięgnąć
Po rozum do głowy.

NOKAUT

Prawy prosty,
Podbródkowy
I wstrząs mózgu
Jest gotowy.

**NAGROBEK
PIRATA**

Na zakręcie
Wyleciała
Bryka z szosy,
Dusza z ciała.

SWAWOLA

Nie po to się tyle
O wolność walczyło,
Żeby świętym krowom
Wszystko wolno było.

MRZONKA

Nie zawsze żona
To ta wymarzona.

ZASŁUGA

On wszystko dziś ma,
Bo zawsze był za.

BRUDZIO

I po czystej wódzi
Gęba się pobrudzi.

WYSOKIE NAPIĘCIE

Mocno kopie...
I po chłopie.

DZIAŁACZ

Działał, ale działało
Niewypały miało.

NATURYSTA

Podejrzany typ
Bez wstydu i slip.

PSYCHOZA

Coraz częściej szczeka
Człowiek na człowieka.

KRYSZYNA SYLWESTRZAK
GDAŃSK

Aforyzmy

Aby zostać
dobrym błaznem,
trzeba znać
psychikę widzów.

*

Artysta obnaża duszę,
naturysta – tuszę.

*

Poeta? Osobnik
chory na metafory.

*

Trudno zostać
bohaterem dramatu,
zajmując miejsce
na widowni.



RYŚ: ANDRZEJ ROSSA

Godo Bolech zes Cierpiengów*



Od wielu już lat na satyrycznych stronach „Filantropa Naszych Czasów” ukazywały się – i ukazywać będą – zabawne felietony, napisane szczególnie, autentyczną gwarą gnieźnieńską. Ich autor tak lub nieco inaczej podpisuje swoje humoreski: „O czym się godo wew Gnieźnie, opisał Bolech zes Cierpiengów”. Tych kilkadziesiąt perełek lokalnego języka i zarazem żartobliwych opowiadań opublikowano w prezentowanej tu książce „Bądźma ludźmi, szak!”, wydanej niedawno przez Miejski Ośrodek Kultury w Gnieźnie.

Wreszcie mamy okazję zdradzić naszym Czytelnikom, którzy może nie poznali jeszcze prawdziwego „Bolecha zes Cierpiengów”, że jest to literacki pseudonim profesora doktora habilitowanego nauk medycznych Włodzimierza Bulikow-

skiego, twórcy książki i stałego autora naszego miesięcznika. Wielką fascynacją tego lekarza i człowieka nauki, emerytowanego kierownika Katedry Rehabilitacji, Fizjoterapii i Balneologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, zawsze była równocześnie kultura, historia, obyczaje i język lokalnych społeczności. Ta jego pasja rozwinęła się zwłaszcza w Gnieźnie. „I tu właśnie znalazłem moją wspaiałą małą Ojczyznę. Na dodatek tu właśnie uwiodła mnie gwara gnieźnieńska” – pisze w „Bądźma ludźmi, szak”.

Niejako ukoronowaniem wielu lat ukochanej pracy profesora, poznawania całego bogactwa gwarowego języka Gniezna i okolic, gromadzenia słów, zwrotów i nazwisk, dokumentowania miejscowych anegdot i opowieści, utrwalania wszystkich barw małej Ojczyzny stanowiących o jej

odrębnej „osobowości” – jest właśnie omawiana książka. Miejmy nadzieję, że odegra ona istotną rolę w dziele ocalenia od zapomnienia dziedzictwa samorodnej twórczości wielu pokoleń. Książka Włodzimierza Bulikowskiego zawiera także opracowany przez autora obszerny słownik tej gwary, ze starannym wyjaśnieniem znaczeń poszczególnych słów.

Wydaje się jednak, że oryginalny język gnieźnieńskiego środowiska niekoniecznie ulega zanikowi i zapomnieniu. Świadczą o tym najnowsze felietony Bolecha zes Cierpiengów opublikowane niedawno w „Filantropie”, w których zasłyszana przez autora zabawną gwarą rozmawia się o sprawach modnych i aktualnych, na przykład o „odwołaniu derekt do Sztrasburga”, albo o tym, „Ile centymetrów skoknunc (...) niech nom zatwierdzi Bruksela”. Okazuje się, że barwny miejscowy język jednak wciąż bywa w użyciu i niechętnie poddaje się upodobnieniu do współczesnego języka ogólnego.

MARCIN BAJEROWICZ

* Cierpiengi – ulica Cierpięgi w Gnieźnie.

Dziónek piyrszygó maja

Na piyrszygó maja śli my łobowionzkowo w pochodzie! Przy fabryce u Myłchów zebrało się kupe wiary. Prawie każdyn robociorz przyknał się ze swojóm famułom. Słonce świeciło w ślypie, wyync pozakłodal mi cyymne bryle. Na obkoło kiyzki zielone, hyčka pachniała.

Patrze, a łod mostu rechło sie mały Knajder. Alek łón sie wystrzelół, gilejza jedna! Miał na sie biołóm koszule, granatowe portki, a na giyrach bioł tenisówki. I do tego założył sobie czerwóny ślips! Mówie wom, wystrzelił sie jak gzub zes lani! Żebyk nie ta jegó glaca, co mu się wew słuńcu świeciło, to by mu nikt nie doł tych łot, co miał. Ale już był czas pochodu.

Heniu i Marych rozdawali wiarze transparynty i szturmówki, dzieciokom chorógiówki, a babom kwiotki. Były tyż do nieszynio portrety przodowników pracy i przywódców naszymygo rzóndu. Jo dostałóm szturmów-

ke. Takóm wiegachnom, całóm czerwónom. Knajder niós portret jednygó przodownika pracy z naszymy fabryki, takiygo racjonalizatora, co z bylek czegoś stetrol.

Pochód piyrszomajowy sie sformował i ruszyli my w kierunku Kelmanów i Zynerów, i dali do Żabikowa. Na samym czele szła łorkiestro harcercsko „Czerwóny pióntki” z Żabikowa, za nióm władze z piyrszym sekrytorzym, zaś wiara łod Kelmanów i Zynerów, a późni my łod Myłcha. Trybuna buła na rynku w Żabikowie. Kawoł drogi. Mały Knajder miał pecha, bo taki jedyn luntrus doł mu do potrzymania drugi portret przodownika pracy.

– Jo zaro wróć! – powiedział Knajdrowi i wsiunk. Wyync Knajder musiał wlyc dwa portrety i cyngłym podskakiwał, zmyniał giyre, bo mu do taktu bymbna nie pasowało. Nachichrołóm sie z niego, cyymyngi, że łóż coś. A Knajdrowi łapy mglaly i portrey na doł opusz-

czoł. Nie bardzo to się widziało naszymy sekretarzowi, wyync blubrol do Knajdra:

– Wyży, towarzyszu, te portrey, bo ich widać nie bydzie!

Łejery, jak piyknie my wyglundali w tym pochodzie! Jedne chorógiwie niebieskie z biołymi gołumbkami pokoju, szturmówki czerwone i biało-czerwone, i wszyndzie kwiotki. Za fabrykami szła młodzież szkolno, organizacje, a na końcu harcercze.

Jak my sie już zbliżali do trybuny na rynku w Żabikowie, to Knajder akurat cosik sobie poprawił przy pasku łod spodniów. Patrze, a tyn szuszoł faszke z berbeluchom miał schowanom! Nikt sie nawet nie kapnył. A jak my došli pod trybunę, to spiker glyndzi przez radio-guzy:

– A teraz przejdóm przed nami robotnicy czerwonygó Lubónia!

Wiara nom klaskała, że łóż coś. Wiwatowali nom a wiwato-

wali! A nasz sekrytorz wołó do Knajdra

– Wyży te portrety, towarzyszu! Wyży! Bo ich nie widać!

Nó to Knajder zebroł sie w sobie i podniósł tak, że mu koszula z portek na wyjrzech wylazła i faszka z berbeluchom sie pokazała. Przed trybunom stoł szkieł, co trzymał porzundek na trasie pochodu. Zoboczył faszke i wołó do Knajdra:

– Hej obywatelu, schowejcie tegó pólbasa!

Orkiestra grała. Knajder nie dosłyszol, o co sie rozchodzi, wyync pyto:

– Którygó móm schować? Tegó czy tegó?

I szpycuje na portrety. Takóm porute nom narobił!

Naszo wiara sie chichrała. A te kumple – przodowniki, co Knajder niós ich portrety, zaczęli sie na niego borchać. Ale po pochodzie pogodziła ich berbelucha i razymy my pošli na mecz.

BENON MATECKI

Wiersze Zbigniewa Nowaka

Kańczug za kańczugiem

*Co rusz stawiam siebie przed sobą
I zaraz z pleców zdzieram koszulę.
Chwytam za gardło żelazną dłonią,
A mocarny uścisk dławi mój oddech,
By rzucić pod ścianę nikczemną postać.
Rzemienny nahań ujmuję bezlitośnie
I srodze zamierzam się szerokim ruchem.
Pierwsze chłóśnięcie dotkliwie piecze,
Następne boleśnie tnie napiętą skórę,
Lecz udręka w piersi jeszcze większa.
Kańczug spada za kańczugiem ślepo,
A po bezbronny ciele spływa krew.
Wycieka obficie z głębokich pęknięć.
Ma bardzo boleć, choć ciągle za słabo,
Bo potarganej duszy zagłuszyć nie może.
Więc zaciskam zęby i mocniej smagam...
Dzisiaj pobudki już prawie nie pomnę,
Ale pojąć wciąż jednakowo nie umiem,
Dlaczego wtedy byłem tak nieubłagany.*

KOŁOBRZEG 24 STYCZNIA 2018 ROKU

Osobliwość

*Każdej doby spada z ramion
Dzień ciężarem naznaczony
I podobnie brzemienna noc.
Uderzają głuchym tąpnięciem
Z tyłu, na przebytej ścieżynie,
Jak odrzucony zbędny bagaż.
Lecz dlaczego wagi nie ubywa,
Z czasem żadnej ulgi nie czuć?
Dziwnie dnie z nocami багаżem
Coraz większym, uciążliwszym,
Z bezustannie intensywniejącym
Uznojeniem przydeptanego karku.*

KOŁOBRZEG, 7 STYCZNIA 2018 ROKU

Zabłąkałem się

*Zabłąkałem się w myślach
Do tamtego parku na ławkę,
Gdzie od ciekawych wzroków*

*Uwolniony na zawsze
Piłem w powietrzu jesieni
Dymem liściastym i tęczą
Ozdobione krajobrazy.
I między górami krążyłem
Patrząc przez kwitnące gladiole,
Tak samo niedosięgte
Jak szczyty dalekie,
Choć na wyciągnięcie ręki.*

*Zabłąkałem się w myślach
W dalekie przestrzenie
I czas równie odległy.*

KOŁOBRZEG, 13 WRZEŚNIA 2005 ROKU

Tylko tyle...

*I po cóż tak wiele znosiłem,
Gryzłem pięści wśród nocy?
Zakutany po nos cierpiałem,
Bezsilny, pozbawiony mocy.*

*Po co w wyssanym brzuchu,
Fruwające ścisnąłem motyle?
Zostałem dalej leżąc bez ruchu
I tylko tyle mam z tego, tyle...*

KOŁOBRZEG, 25 MAJA 2000 ROKU

Dom

*Spod słońc jarzeniowych,
Z krain zimnych bieli
Wracam pod dach bezpieczny
W objęcia troskliwe,
By głowę złożyć na dłoniach
Czułych i ciepłych,
Gdzie mleko z miodem,
Z uśmiechem i spojrzeniem tklwym
W kubku glinianym
Dostanę pod wieczór,
Kiedy wiatr pianissimo zaszumi
Snom przyklejonym do rzęs.*

POZNAŃ, 29 CZERWCA 1991 ROKU

Przy wspólnym stole

Koło Wielkopolskiego Związku Inwalidów Narządu Ruchu w Środzie Wielkopolskiej zorganizowało 13 kwietnia, w Restauracji Turystycznej „U Moniki”, tradycyjne doroczne spotkanie wielkanocne dla swoich członków oraz ich rodzin. Prezes Koła i zaproszeni goście złożyli życzenia świąteczne. Przybliżono także plan działań na 2019 rok oraz wręczono słodkie upominki.

W spotkaniu uczestniczyli między innymi: Małgorzata Wiśniewska-Zbłocka, wicestarosta średzki, Małgorzata Ferdała, przewodnicząca Rady Powiatu w Środzie Wlkp., Piotr Mieloch, burmistrz Miasta i Gminy Środa Wlkp., Mirosława Rynowiecka, prezes Zarządu Głównego WZINR, prezesi kół terenowych Związku oraz Zbigniew Idaszak, przewodniczący Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Środzie Wlkp.

Małgorzata Wołosz, kierownik Warsztatu Terapii Zajęciowej w Owińskach opowiedziała o urządzeniu CRDL, przekładającym doty-

na dźwięk, które jest jedynym tego rodzaju urządzeniem w Polsce wspomagającym nawiązywanie kontaktu z osobami z demencją, autyzmem

czy z chorobą Alzheimera. O specyfice tego urządzenia piszemy szerzej na stronie 6 i 7.

JERZY SKROBISZEWSKI



FOT. ARCHIWUM WZINR

Wiosenna krew

Ratajski Dom Harcerza „Skaut” i Klub Honorowych Dawców Krwi PCK przy Wielkopolskim Oddziale Okręgowym PCK zorganizowali 23 marca w mobilnym punkcie poboru krwi na os. Piastowskim zbiórkę tego

bezcennego leku. 7,65 litrów krwi oddało 17 osób.

Krwiodawcy otrzymali m.in. książki „Porozumienie w świecie zwierząt. Biokomunikacja”, której autorką jest Honorata Korpikiewicz – członek Klubu HDK PCK.

ROBERT WRZESIŃSKI



FOT. ROBERT WRZESIŃSKI

DRUKARNIA

KOM - DRUK

DRUK DO FORMATU B2

ULOTKI i PLAKATY

WIZYTÓWKI

KSIĄŻKI

FOLDERY

KALENDARZE

SZTANCOWANIE

PROJEKTOWANIE GRAFICZNE

DRUK OFFSETOWY I CYFROWY

ul. Karpińskiej 16, 60-462 Poznań

tel. 618 172 206

www.komdruk.pl | mail: komdruk@wp.pl

NEUROLOGICZNY NIEPUBLICZNY ZAKŁAD OPIEKI ZDROWOTNEJ CENTRUM LECZENIA STWARDNIENIA ROZSIANEGO OŚRODEK BADAŃ KLINICZNYCH

im. dr n. med. Hanki Hertmanowskiej



Jeśli zauważyłeś u siebie lub bliskiej osoby
utrzymujące się od dłuższego czasu

- smutek, przygnębienie
- lęk, niepokój, drażliwość
- wahania nastroju lub zaburzenia koncentracji
- trudności z zasypianiem lub wielokrotne wybudzanie się w nocy
- spadek zainteresowania dotychczasowymi aktywnościami

to może być DEPRESJA

**NIE CZEKAJ – ZGŁOŚ SIĘ DO NAS
NA BADANIA DIAGNOSTYCZNE I LECZENIE**



Zapraszamy:

62-064 Plewiska, ul. Fabianowska 40

Rejestracja telefoniczna
w godz. 10.00-16.00 od poniedziałku do piątku

61-863-00-68 lub 506-444-900

www.hertmanowska.pl
neurologiczny.nzoz@gmail.com